Cena 7 zł.

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok II — Warszawa 3 marca 1946 r. — Nr. 9 (15)

Bolesław Piasecki

KIERUNKI

III

Trzeba wydać walkę bezradności. Trzeba także ujawnić różne jej postacie.

Wielu ludzi nie może sobie dać rady ani z tym, co przeżyli dotychczas, ani z tym, co przeżyć będą musieli. Ludzie ci mówią, że stoją na skrzyżowaniu dróg, z których każda oddala ich od celu. Znamy tych ludzi wszyscy, rozmawiają oni z nami stale. Bezradność szuka współczucia tak, jak nieszczęście.

Nie zawsze jednak można liczyć na przyznanie się do przeżywania bezradności.

Istnieją rozmyślni krótkowidze. Historyczne wydarzenia wyniosły nas na krawędź; dostrzegalny horyzont poszerzył się ale i oddalił. Widzimy wyraźniej, jak ściśle los jednostki wiąże się z losem państwa; widzimy dokładniej, jak bardzo przyszłość państwa wiąże się z biegiem zdarzeń międzynarodowych. Rozumiemy jasno, jak bezpośrednio harmonia własnych przeżyć uzależniona jest od ścierania się idei, które przebiegają przez świat. Trudno jest przyjaciołom rozmawiać, trudno jest profesorom wykładać, trudno jest kaznodziejom nauczać, gdyż sens używanych pojęć jest wątpliwy. Toczy się o ten sens walka. Spirytualiści nie mogą zrozumieć materialistów. Ludzie, dla których wojna była służbą ducha i krwi, spotykają z rozterką takich, co starali się ją tylko przetrwać. Niepokój współczesności pchnął jednych do utraty poczucia moralnego, w pogoni za pieniądzem lub użyciem, innych natomiast związał z Bogiem. Ludzie ci litują się nad sobą nawzajem. Zwycięzcy nie rozumieją pokonanych, pokonani nie uznają zwycięzców. Dla jednych rzeczywistość jest tułaczką po wyrzuceniu z raju przedwojennego — dla drugich zaś cierniową drogą do ziemi obiecanej. Ludzie ci stoją do siebie plecami i nawet nie chcą się odwrócić, aby się zobaczyć.

Zarysowane rozbieżności przełamują się w konkretnej jednostce w różnych zestawieniach, tworząc dalsze powikłania. Nic dziwnego, że w tych warunkach sens używanych pojęć jest wątpliwy i musi stanowić przedmiot walki.

Historyczne wydarzenia wyniosły nas na krawędź. Oczy współczesnego człowieka dostrzegają nie tylko bezpośrednie zagrożenia — widać też niebezpieczeństwa, ktore dopiero wynikną. Omijając jedne, łatwo jest wybiec na spotkanie drugich.

Do samego wnętrza osobowości współczesnego człowieka dobija się rzeczywistość wielu doznaniami. Doznania te są przejmujące, często przeciwstawne. Jest wyznaniem bezradności opierać swe postępowanie na tym, że się dopuszcza do świadomości tylko najbardziej dogodne głosy otaczającej rzeczywistości. Sytuacja staje się fałszywie prosta. Wszystko jest pozornie jasne. Można wtedy mówić, że wszystkiemu winna Rosja lub Anglia, albo reakcja czy P. P. R. Można wtedy widzieć we wszystkich zjawiskach jedynie grę polityczną mocarstw, można negować potrzebę ideologicznej walki. Można twierdzić, że rewolucja już nastąpiła, lub, że jej nie ma i nie będzie.

Bezradność jawnie głoszona, czy też bezradność ukrywana dla samego siebie, występująca nazewnątrz w zakłamanym uproszczeniu jest nie do usprawiedliwienia, więcej — musi być potępiona.

Bezradność jest leniwą lub histeryczną zdradą samego siebie i narodu.

Niemoralność bezradności nie na tym polega, że się nie widzi wyjścia z sytuacji, ale na tym, że się go nie szuka. Grecy określali niektóre zdarzenia dziejowe jako szaleństwo bogów i ludzi. O dniach naszych niewątpliwie można powiedzieć, że są szaleństwem jednostek i mas ludzkich. Świat, i ten nasz polski, najbliższy i ten odległy z nad oceanu i z pod Uralu, wciska się chaosem do wnętrza naszej osobowości. Niepokój narodów, niepokój kierunków ideowych zdobywa dla siebie naszą duszę. Potrzeba nam wielkich rozstrzygnięć, rozstrzygnięć osobistych, narodowych i ponad narodowych. I tu wielu z nas nie widzi drogi poza chaos. Powstaje wewnętrzne szamotanie się, przychodzi umęczenie. Wtedy rodzi się pokusa znieczulenia siebie przez poszukiwanie sensacji. Ludzie tacy wynajdują ustawicznie wiadomości, które bądź odbierają ostatnią nadzieję, bądź też określają dzień przebudzenia w swobodnym szczęściu.

W stan ten trzeba uderzyć osobistym i polskim poczuciem odpowiedzialności.

Nie można szukać dla siebie i narodu drogi zwycięskiej przez chaos zewnętrzny, o ile chaos ten szaleje wewnątrz własnej osobowości. Walkę o rozumienie prawd najprostszych należy stoczyć przede wszystkim z sobą. Trzeba się zdobyć na spokój zamyślenia nad treścią pojęć, o które chcemy walczyć. Od siebie bowiem tylko można się dowiedzieć, co się naprawdę kocha.

Struktura wewnętrzna człowieka powstaje przez obecność celów, którym się służy. Obecność tych celów jest poprostu ich rozumieniem i kochaniem. Walkę zatem o cel działania prowadzi się z sobą samym. To, co chcielibyśmy uczynić przedmiotem ukochania innych, musimy ukochać najpierw sami. Myśl, zasada, o których zwycięstwo chcemy walczyć w zbiorowości, musi zwyciężyć najpierw w nas samych.

I bądźmy szczerzy ze sobą. Niezależność nasza w tej walce jest całkowita. Nikt i nic nas nie może zabrać — możemy się tylko oddać. Oddanie nasze coprawda musimy ponawiać stale, ale możemy je też w każdej chwili cofnąć. W walce o ukochanie celu człowiek ma tylko jednego przeciwnika: siebie. Jedyny ten przeciwnik towarzyszy mu zarówno w chwilach, gdy w urzeczywistnianiu celu w świecie — ponosi klęskę, czy osiąga powodzenie. Ukochanie celu jest źródłem siły człowieka; i to źródło pozostaje niezależne od zewnętrznej dysproporcji sił.

Diagnoza stanu ludzi bezradnych jest prosta. Widzą oni zagrożenie ukochanych przez nich celów, nie widzą drogi do zdobycia niezbędnej do zwycięstwa siły. Są bardzo zmęczeni, ponieśli wiele ofiar, strat, wyrasta przed nimi dżungla nowych trudności — zagubili się, szukali potem, lecz ustali z wyczerpania. Rozwiązanie jest tylko jedno. Niech rozgorzeje w nich wtedy wewnętrzna walka o pełniejszą obecność celów, niech się staną jeszcze bardziej wrażliwi na rzeczywistość. Niech pochłaniają wszelkie napięcia i dysonanse, niech każdy nowy przeciwnik budzi chęć zdobycia go dla własnej wiary i niech powoduje przezwyciężenie fałszu, któremu ten przeciwnik uległ. Zobaczą wtedy ludzie bezradni, jak ta sama rzeczywistość, która ich zbłąkała i obezwładniła, rodzi niezwalczony nakaz szukania drogi.

Pisaliśmy tu o celach, a myśleliśmy o Bogu, o ludzkości, o narodzie naszym, o osobowości ludzkiej, o naszych przyjaciołach i naszych przeciwnikach.

To właśnie naszemu narodowi grozi niebezpieczeństwo, bo właśnie nasz naród znalazł się na rozstajnych drogach i patrzy z niepokojem w swą przyszłość. Musimy być społeczeństwem, szukającym z pasją drogi. Nie możemy być zbiorowiskiem ludzi bezradnych.

Polska rzeczywista, Polska żyjąca, to przede wszystkim instynktowna organizacja moralna.

Wszyscy współcześni Polacy są odpowiedzialni przed sobą za Rzeczpospolitą. Są tą odpowiedzialnością związani. Należy to powiązanie ożywić. Jest ono bowiem nikłe. Nie trzeba udawać. Szczerzy i odważni między sobą jesteśmy tylko w omawianiu nieszczęść, wyliczaniu przeciwności, ocenianiu przeszłości. Gdyby zsumować zdecydowaną większość ocen sytuacji, jaką dokonywują między sobą poszczególni Polacy, co do biegu wydarzeń, należałoby wnosić, że przyszłość nietylko jest czarna, ale że wogóle jej niema. Opanował nas jakiś fałszywy wstyd wyrażenia swej wiary w nasze siły i nasze projekty. Projekty te jednakże są, tylko każdy traktuje je jako indywidualną lub najwyżej środowiskową próbę rozwiązania.

Jesteśmy szczerzy w dzieleniu się niewiarą, o naszych zamierzeniach mówimy na niby. Środowiska polskie wobec własnej wzajemnej niewiary stoją bezradnie, sądząc jednocześnie, że potrafią rozproszyć wątpliwości obcych. Należy okazać sobie więcej życzliwości, wiązać się nietylko wzajemnym współczuciem, ale wspólną wiarą i zaufaniem.

Bezradność jest przygotowywaniem klęski i musi zniknąć. Nie trzeba czekać z porzuceniem postawy bezradnej na zmianę sytuacji. Trzeba zmienić siebie, trzeba oprzeć kulturalne i polityczne cele narodu o głębsze ich ukochanie. Pogłębienie to można osiągnąć jedynie przez ogarnięcie współczesności w jej twórczym nurcie. Walczyć o harmonię życia ludzi choćby najdroższych, o harmonię życia własnego narodu można jedynie, przezwyciężając jednocześnie tragedię i dramat epoki wewnątrz samego siebie.

Józef Birkenmajer

BŁOGOSŁAWIĘ!

Błogosławię ci w mojem cierpieniu,
błogosławię ci w mojej udręce,
i w uległym, kornym uwielbieniu,
dań srebrzystą łez moich ich święcę.

Błogosławię ci żywota znojem
i tą pracą, którąś mi nakazał,
błogosławię niedołęstwem mojem
i grzechami, któreś z duszy zmazał.

Błogosławię-ć, Boski Wierzycielu,
resztą długów moich—niespłaconą—
i ciężkimi zgryzotami wielu,
co jak ogień trawiły mi łono.

Błogosławię ci za krzyża brzemię,
któreś, Panie, na mych barkach złożył,
by zaświadczyć, żeś mnie — ludzkie plemię —
na twe własne podobieństwo stworzył...

Błogosławię ci za wszystkie kary,
za dotkliwą moich win pokutę,
za serdeczne straty i ofiary,
przez mych bliźnich niezawsze odczute...

I za ludzką niewdzięczność niepomną,
której ciężar plecy moje zgarbił,
którą niosę, jak sakwę ogromną
skarbów, jakie dla ciebie-m zaskarbił.

Bołogsławię-ć za czarne rozpacze,
co mówiły, żem słaby, jak dziecię,
że na świecie nic a nic nie znaczę,
boś ty jeno jest Panem na świecie.

Błogosławię i za śmierć bolesną,
co jak złodziej czatuje u dźwirza,
bo mi ona tę dolę doczesną
do twych progów, o Panie, przybliża...

Lesław M. Bartelski

OJCZYZNA

Ty jesteś moje życie
i nie ubarwię cię niczym,
masz twarz jak kłos pszeniczny
i oczy wilcze.

Ty jesteś serce moje,
które żelazo niszczy w popiół,
trawą jesteś, wiatrem i spokojem,
jak gwiazd wodopój,

ty jesteś dnem strumienia,
po którym spływa młodość —
łatwo nas przyjmie ziemia,
bo z ognia, powietrza i wojny.

Ty jesteś linią dłoni,
którą zaciskam mocniej,
gdy wargi czepszą: koniec...
(o chłodzie nocnym),

nie odgadnę cię niczym,
nie prawdami, ni wierszem —
prawem jesteś, obliczem
i słowem pierwszym,

nie pojmę cię, ni odtworzę,
ani zakuję w pieśń,
jesteś kawałkiem chleba,
co w krtani rośnie w pięść.

Paweł Jasienica

Dziejopisarstwo podług recepty

SAM NA SAM Z MĘDRCAMI

Teoria materialistycznego pojmowania dziejów znajduje się dziś w ofenzywie. Przedstawicieli tego odłamu myśli cechuje zapał, tudzież szczera troska o jak najbardziej pieczołowite przeprowadzenie poszczególnych akcyj. Robota ma być precyzyjna, koronkowa.

Oto w Nr 13 „Kuźnicy" p. Witold Kula wystąpił z artykułem „Z dziejów bankructw emigracyjnych". Nr 16 tegoż pisma poświęca niemal całe dwie stronice dyskusji na poruszone w nim tematy. Jest artykuł dyskusyjny p. Romana Werfla i odpowiedź autora. Posłuchajmy, jak zaczyna p. Werfel:

„Kuźnica" — pisze on — pragnie być bojowym organem polskiej myśli marksistowskiej. Artykuł wstępny „Kuźnicy" musi uchodzić dla przeciętnego czytelnika za głos, jeśli nie całości, to w każdym razie poważnego odłamu marksistów polskich. Dlatego wydaje mi się, że dobre imię marksizmu polskiego wymaga bliższego omówienia tego artykułu".

I mnie się tak wydaje. Pragnę, aby tam, gdzie chodzi o „dobre imię marksizmu polskiego", nie zabrakło i głosu „przeciętnego czytelnika", który istotnie uważa „Kuźnicę" za „bojowy organ polskiej myśli marksistowskiej".

LEGIONIŚCI DĄBROWSKIEGO

Twierdząc, że emigracje polityczne chorują i wymierają na uwiąd starczy, p. Kula Ameryki nie odkrył. Znacznie natomiast ciekawsze są jego rozważania szczegółowe. Na ich podstawie możnaby sądzić, że dziejopisarski rynsztunek p. Kuli składa się ze znajomości szeregu niespornych prawd podręcznikowych, tudzież z pewnej recepty na prawidłowe, jego zdaniem, ich porządkowanie. Tak uzbrojony harcuje sobie swobodnie po szerokich wygonach porozbiorowych dziejów Polski.

P. Kula wiele miejsca poświęca reakcyjności i postępowości w czasach Sejmu Czteroletniego, o czym zresztą już z nim dyskutowano, wytykając mu rażące anachronizmy. Nie zawsze, proszę pana, postępowość polega na jednym i tym samym. Był taki czas w głębokim średniowieczu, kiedy wszystkie elementy postępowe we Francji popierały absolutyzm monarszy, walczący z reakcją baronów feudalnych. Autorowi „Dziejów bankructw emigracyjnych" pewnie bardzo by imponował tytuł dialektyka. Aby go jednak osiągnąć, nie należy zapominać o naczelnej zasadzie myślenia dialektycznego: o zmienności procesu dziejowego.

Wywody, zmierzające do oświetlenia emigracji polskiej po upadku powstania kościuszkowskiego, wyglądają dosłownie tak:

Szli owczym pędem za swoimi przywódcami — lecz to nie tłumaczy jeszcze masowości zjawiska... Któż bowiem emigrował? Oficerowie świeżo stworzonej armii, ludzie związani z aparatem administracyjnym, z sądownictwem, z samorządem... Dla ludzi tych ranga w armii, asesorstwo w palestrze, komisarstwo skarbowe i t. p. — były to jedyne drogi utrzymania się na uprzywilejowanej pozycji społecznej. Upadek państwa — a wskutek tego: rozwiązanie wojska, likwidacja samorządu, wprowadzenie fachowej biurokracji... stawiał tych ludzi wobec tragicznego dylematu... albo kontynuować walkę, albo pogodzić się z deklasacją. Lecz z deklasacją nikt się z dobrej woli nie godzi. Wybrali dalszą walkę — poszli na emigrację".

Tyle, jeżeli chodzi o oficerów. Szeregowcy natomiast, dezerterzy i jeńcy z armii austriackiej, „uprowadzeni w kamaże — woleli już z dwojga złego służbę w legionach. Tak tamci, jak i ci wytrwali, bo nie mieli gdzie wracać... Legiony trwały — bo nie mogły nie trwać".

P. Kula uważa widać, że nie istniały inne przyczyny oprócz wyżej wymienionych, bo o nich nie pisze.

Dowiadujemy się więc, że z obawy przed deklasacją szlachta polska szła do wojsk rewolucyjnej republiki francuskiej, zajętej właśnie gilotynowaniem utytułowanych. Aby się utrzymać na uprzywilejowanej pozycji społecznej, wstępowano do legionów, gdzie nawet oficerowie chadzali boso, a mundury sporządzało się z przemalowanych na granatowo kurt austriackich „gemejnów.

Literatura polska stworzyła dwa typy szeregowego legionisty. Jeden, to fanatyczny Jeliczyk Ojrzyński z „Popiołów", drugi, to poniewolny żołnierz „Derkacz" z „Kordiana i Chama". P. Kula dostrzega w legionach wyłącznie Derkaczów.

Jakże wobec tego wyjaśnić następującą sprzeczność?

ALLONS ENFANTS DE LA PATRIE

Legiony Dąbrowskiego stanowiły (de facto, nie de jure) część składową wojsk francuskich. Armia zaś rewolucyjna wkraczała właśnie na szlak niebywałej sławy.

Żołnierz to był przeważnie młody, nieświetnie wyszkolony i zaopatrzony jak najfatalniej. Dostawcy, z gębami pełnymi patriotycznych frazesów, okradali wojsko na potęgę. Buty kaleczyły żołnierzom stopy i rozpadały się, zanim marszowa kolumna dotarła z Paryża do Lionu. „Jesteście głodni i źle odziani" — wołał do swych pułków generał Bonaparte.

A przeciw nim działały najlepsze armie Europy.

Ówczesny żołnierz francuski zadaniu sprostał. Fakt ten realnie można wytłumaczyć tylko jednako. Oto ożywiała go absolutna, ślepa, fanatyczna wiara w słuszność jego rewolucyjnej sprawy. Rzecz charakterystyczna: godnych siebie przeciwników napotkali podówczas Francuzi dopiero w Rosjanach, równie ślepo wierzących w to, że prawa jest po stronie cara, nie zaś „antychrysta".

Jakże więc w tych okolicznościach przedstawia się bilans służby polskich legionistów, rekrutujących się, jak wyżej zacytowano, z politycznych kombinatorów i rozbitków życiowych?

O dziwo! Jak najwspanialej! Nie prześcignęli ich w ofiarności i męstwie ani grenadierzy Bonapartego, ani jegrzy Suworowa.

Gdzież tu logika? Gdzież najprostszy sens?

P. Kula w żaden sposób nie chce dostrzec powodującego ludźmi czynnika irracjonalnego i dlatego dziejopisarstwo jego zaliczyć chyba wypadnie do szkoły Koszałka-Opałka, który szukał po świecie śladów wiosny.

Czy nie prościej i uczciwiej byłoby przystać na starą tezę, głoszącą, że do „ziemi włoskiej" gnały Polaków takie rzeczy, jak miłość ojczyzny, wierność sztandarowi i przysiędze? Może wtedy stałoby się bardziej zrozumiałe, czemu to w ich właśnie środowisku powstała pieśń o generale Dąbrowskim, hymn narodowy, któremu w dynamice dorównuje tylko Marsylianka.

O OKUPANTACH MĄDRYCH I GŁUPICH

Powiedziano, że „historia — to dzieje walki klas". Wierny uczeń nie odstępuje od słów prawdy. W wywodach jego powstają dzięki temu nieprzyjemne luki — lecz „salwowana zasada".

Państwo polskie upada, a więc klasa ludzi, żyjąca z jego skarbu, traci materialną bazę istnienia, stając się przez to czynnikiem rewolucyjnym. Twierdzenie to wygląda nawet dość przekonywująco. Tak głównie jednak dopóki się nie odłoży na bok podręczników i recept, i nie sięgnie do źródeł. Warto np. przeczytać dzieło ks. Kitowicza. Ukazuje ono państwo polskie od środka. Konstytucja Majowa skierowała je na nowe tory, ale nie mogła przecież odrazu zmienić wszystkich strupieszałych szczegółów. Trybunały, pamiętające Batorego, administracja z czasów króla Ćwieczka, „względy i urzędy" — wszystko dopasowane do potrzeb trzęsącej Polską od wieków magnaterii, ale zabójcze właśnie dla tak zwanej inteligencji pracującej. Wśród wielu mankamentów polskiej przedrozbiorowej rzeczywistości nie ostatnie miejsce zajmuje brak pola do pracy dla ludzi zdolnych. Elementy aktywne gniją w rodzimym bezwładzie, albo wyżywają się w rozmaitego kalibru awanturach, albo — idą w obcą służbę.

Bystroń w „Dziejach obyczajów" cytuje całą litanię nazwisk Polaków, którzy się zaciągnęli pod sztandary — tureckie. Lissowski poszedł na internacjonalną kondotierkę, Arciszewski służył Holendrom, Jan Henryk Dąbrowski w wojsku saskim, Kucharski tworzył we Francji, Kościuszko praktykował sztukę wojenną w Ameryce i t. d., i t. d.

Kiedy zaś państwo polskie istnieć przestało, rządy zaborcze nietylko nie zamknęły „młodzi szlacheckiej" drogi do karier, ale starały się nawet ją ułatwić. Cały szereg szlacheckich instytucyj prawno-publicznych utrzymał się zresztą, zwłaszcza w zaborze rosyjskim, bardzo długo.

Wszystkich wogóle okupantów i zaborców można podzielić na mądrych i głupich. Do tej kategorii zalic... się np. Hitler, który nic lepszego od mordowania i deklasacji całych narodów wymyśleć nie potrafił.

Otóż rządy zaborcze w wieku XVIII należały do okupantów mądrych. Kto z Polaków pogodził się z istniejącym stanem rzeczy, ten mógł liczyć na awans społeczny. Że wspomnę tylko o szafowaniu tytułami przez rząd austriacki.

Warto było czytać niemieckie OKW-Berichty z ostatniej wojny. Historyk mógł w nich znaleźć sporo ciekawego materiału. Oto np. w r. 1940, po zdobyciu belgijskiego fortu Eben Emael doniesiono, że odznaczył się tam szczególną odwagą oberleutnant von Jaworski. Casus to dosyć typowy. Od pierwszego zaraz rozbioru Fryderyk II zabiegał gorliwie o to, żeby wśród młodych Polaków było jak najwięcej „von Jaworskich". Otwierał im dostęp do szkół kadeckich, tworzył stypendia, chuchał i hołubił. Kazamaty, Szpilbergi i Sybiry czekały wyłącznie opornych, tych, co to nie chcieli zamienić srebrnego felcechu przy oficerskiej szpadzie na złoty. A ów złoty felcech i naramiennik oznaczały właśnie „uprzywilejowaną pozycję społeczną", o której tak przekonywująco pisze p. Witold Kula w „Kuźnicy".

Z KOGO ŚMIAŁ SIĘ LENIN?

Teorię materializmu dziejowego można rozumieć i stawiać dwojako.

Można np., uznając materię, zmiany w produkcji i systemach gospodarczych za istotną podstawę dziejów, twierdzić, że działając w określonym miejscu i czasie, „baza" ta wytwarza rozmaitego typu i rodzaju „nadbudowy". Społeczne, ideologiczne i t. p. Jednakże każdy z takich „faktów wtórnych", raz sformowany, żyje niejako na własny rachunek i, zazębiając się z innymi, powoduje znowu w czasie i przestrzeni rozmaite skutki i zjawiska. Powstaje w ten sposób nader skomplikowany i powikłany łańcuch faktów. Wiedzie on zawsze do swego materialnego podłoża. Jednakże poszczególnych jego ogniw domacać się czasem niesposób.

Odrzucając tę teorię, jako światopogląd, można jednak przyznać, że niekiedy przydaje się ona jako metoda badania historycznego.

Można jednak postępować inaczej, poszukując dla każdego bez wyjątku faktu historycznego materialistycznej podstawy. Jeżeli np. jakiś łódzki poeta napisze wiersz, to uzasadnienia tego zjawiska pewni ludzie skłonni są poszukiwać w aktualnej koniunkturze na produkowane w Łodzi towary włókiennicze.

Z tej to drugiej kategorii teoretyków dziejowego materializmu podkpiwał sobie tęgo, o ile mi wiadomo, sam Lenin. Działał tu jego realizm życiowy, ten sam, co mu kazał po wysłuchaniu wierszy Majakowskiego podrapać się w głowę i powiedzieć: „A pa mojemu Puszkin łuczsze".

Odnoszę wrażenie, że nasz p. Witold Kula zalicza się właśnie do tej drugiej grupy. Skłonny też jestem uważać go nie tyle za przedstawiciela określonej doktryny, co za reprezentanta pewnego typu psychicznego. Członka tego klanu teoria nie służy bynajmniej do wyjaśniania rzeczywistości, tylko ich od niej bardzo dokładnie odgradza.

Służę dowodami. Pisząc o polskich emigrantach w XVIII-ym wieku, pan Kula nie wspomina o wpływających na ich czyny pobudkach natury ideowej. Czyli istnienia ich nie uznaje.

Za naszych czasów i w naszych oczach wiele milionów ludzi dało się zamęczyć za wyznawaną prawdę. Mnie się wydaje, że ten, co ginął w Majdanku lub szedł wysadzać niemiecki pociąg z amunicją, nie rozmyślał podówczas o swych klasowych interesach, tylko ze wszystkiej siły ducha trzymał się sztandaru mordowanej ojczyzny.

Jeżeli więc podobnie działo się w wieku XVIII-ym, jeżeli zamiast do kawalergardów w Petersburgu ktoś decydował się iść do obdartych legionów Dąbrowskiego, to i motywy postępowania musiały być podobne. Takby się przynajmniej na zdrowy rozum wydawało.

Kto usiłuje świadomość istnienia tych ideowych źródeł czynu zatrzeć, ten zmierza do osłabienia siły, która pozwalała ludziom przetrzymać Oświęcim. Nie jest ważne, czy czyni to świadomie, czy też nie.

Albo też przypomina mędrca, co wiele tygodni rozmyślał nad tym, gdzie się ziemia podziewa, kiedy w nią kij wwiercać.

Paweł Jasienica

Jerzy Ciechocki

CZASY MIESZKÓW i BOLESŁAWÓW

Po wojnie notujemy duże zainteresowanie czasami piastowskimi. Prasa chętnie wraca do tych czasów w poszukiwaniu argumentów czy ilustracyj. Opracowania naukowe, chociażby wydawnictwa Instytutu Zachodniego, obszernie omawiają tę epokę. Niedawno ukazała się powieść K. Bunscha o Mieszku I. Paru autorów interesuje się epoką Bolesława Chrobrego, a fragment powieści z tych czasów drukowaliśmy niedawno. Zawiejski wystawia nową sztukę „Masław". „Czytelnik" wydał „Starą baśń" i „Krzyżaków". Stale cytuje się Szczucką a zwłaszcza „Czerwone tarcze" Iwaszkiewicza. Coś jest w dzisiejszej atmosferze, co pociąga specjalnie współczesnego człowieka do owej odległej epoki. Co?

Oczywiście, mogą to być zainteresowania koniunkturalne, walka z Niemcami, Odra—Nisa, wybrzeże Bałtyku. Naród w okresie rozwiązywania najbardziej istotnych zagadnień swego bytu, sięga do epoki, która miała podobne trudności i podobnie próbowała je rozwiązać. Lecz wydaje się, że nie to jest decydujące. Więc co?

Trudno i darmo, dzieje nasze zbyt mocno wgryzły się w naszą świadomość. Nie potrafimy żyć pełnym życiem bez owego mocnego oparcia się o własną przeszłość. Nie jest to bynajmniej cechą tylko inteligencji. Poczucie naszej dawności, poczucie wielkości i mocy to skarb, którego nie wyrzekniemy się. To siła, która nam niejednokrotnie pomogła do przetrwania. W okresie walki z Niemcami owo poczucie, żeśmy się urodzili nie dziś, że walczymy o ziemię naszych ojców i dziadów, że jesteśmy u siebie, dodawało nam sił i pewności zwycięstwa. Zresztą **nie potrafimy** inaczej myśleć o sprawach Polski, niż w oparciu o przeszłość. Czujemy tę przeszłość, związani jesteśmy z nią tysiącem więzów.

Wojna wydobyła nowe czynniki w osobistym stosunku Polaka do historii własnego narodu. Brawurowy atak ułanów na Pomorzu na zmasowane czołgi niemieckie, naród przyjął jako tragedię; to była tragedia. Opowiadał mi pewien podchorąży o podobnym ataku gdzieś na zachód od Częstochowy. Po dwóch atakach nieudanych ułani doszli. Doszli do żelaznych potworów i stanęli bezradni. Rozmówca mój siedział w wątłym baraku niemieckim, szron lśnił się po półociosanych ścianach. Podchorąży pięści wcisnął między kolana, siedział pochylony, lecz twarz miał uniesioną, oczy zapatrzone. „Widziałem, jak żołnierze zeskoczyli z koni, jak chwytali gołymi rękami za ostre zręby czołgów, próbowali je przewrócić. Nawet granatów ręcznych nie dano im przed szarżą, nawet granatów!". A potem wyrwał owe dłonie z pomiędzy kolan, potrząsnął nimi: „To była zbrodnia... to wysłanie owych żołnierzy

na tanki... Zbrodnia, powiadam!". Tak w narodzie załamała się wiara w owe szarże husarskie, w owe łamanie nieprzyjaciela impetem... Jakże to opowiadał pan Wołodyjowski Kmicicowi? „Wtedy to poszła do ataku litewska husaria pod kniaziem Połubińskim, żołnierzem wielkim. Widziałem ich, jak szli, jak ciebie widzę, bo stałem z laudańskimi na wyżynie pod szańcami. Było ich tysiąc dwieście ludzi i koni, jakich świat nie widział. Szli na pół staja wedle nas i mówię ci, ziemia drżała pod nimi. Widzieliśmy piechotę brandenburską, na gwałt zatykającą piki w ziemię, aby pierwszemu impetowi się oprzeć. Inni walili z muszkietów, aż dymy zasłoniły ich zupełnie. Spojrzymy: Husaria już rozpuściła konie. Boże, co za impet! Wpadli w dym... znikli! U mnie żołnierze poczną krzyczeć: „złamią! złamią!". Przez chwilę nie widać nic. Aż zagrzmiało coś i dźwięk się uczynił, jakby w tysiącu kuźni kowale młotami bili. Spojrzymy: Jezus Marya! Elektorscy mostem już leżą, jak żyto, przez które burza przejdzie, a oni już hen za nimi! jeno proporce migocą! Idą na Szwedów! Uderzyli o rajtarię — rajtaria mostem! uderzyli na drugi regiment — mostem! Tu huk, armaty grzmią... widzimy ich, gdy wiatr dym zwieje. Łamią piechotę szwedzką... Wszystko pierzcha, wszystko się wali, rozstępuje, idą jak gdyby ulicą... bez mała przez całą armię już przeszli... Zderzą się z pułkiem konnej gwardii, wśród której Carolus stoi... i gwardię jakoby wicher rozegnał...

Tu przerwał Wołodyjowski opowiadanie, bo Kmicic pięściami oczy zatkał i krzyczeć począł:

— Matko Boża! raz widzieć i poledz!"

Lecz podchorąży, który w oszronionym baraku niemieckim opowiadał o niemniej brawurowym ataku na czołgi niemieckie, inaczej nań patrzał, niż Kmicic. Bo i atak był inny i wynik był inny. W atakach brawurowych września 1939 roku rozwiała się legenda czy prawda o tamtych atakach. Któż rozważał, że czasy były inne, że broń była inna, że brawura współczesna to broszura lotnika współczesna to brawura lotnika go. Romantyzm brawurowego ataku nie poruszał już serca, a pomiędzy reprezentantami tak pojętej potęgi a uczuciem współczesnym, wyrosła ściana.

A potym przyszła walka podziemna, walka, wymagająca niemniejszej brawury, ale brawury obliczonej, obmyślonej, wykalkulowanej. Drogo płaciło się za tę walkę, ale prowadziło się ją upornie. Doszło do powstania Warszawy. Miasto legło w gruzach i w gruzach tych zasypało 300.000 najdzielniejszych swych synów. I oto nasuwa się nagłe pytanie, pytanie pełne niepokoju: Czy jednak tak należało? Czy raz jeszcze nie wywiódł nas w pole romantyzm niepotrzebnej brawury, romantyzm liczenia na pomoc. Dziś zjawiają się głosy bardzo krytyczne. A choć są również obrońcy pełni entuzjazmu, w narodzie jednak czuć zaniepokojenie. Czy jednak nie ulegamy majakom?

I znów rodzi się niechęć do tych czasów, do tych tradycyj i legend, które uczyły nas i kształtowały; zarzuca się im, że doprowadziły do klęski.

Nie rozstrzygam, czy nieufność ta ma uzasadnienie? Czy nie jest to reakcja a posteriori? Czy jednak nie było w tej przeszłości, od której odwracamy się coraz bardziej, momentów pozytywnych i głęboko wychowawczych? Nie twierdzę tego. Tłumaczę tylko przyczyny psychologiczne odwrócenia się od tych lat, od tych epok, na których kształtowaliśmy naszą psychikę w okresie „międzywojennym".

Lecz były jeszcze głębsze, jeszcze istotniejsze przyczyny odejścia od epoki Zygmuntów, od złotego wieku, od ataku husarii litewskiej pod Połubińskim, żołnierzem wielkim... Odchodzimy od tej epoki, gdyż była to epoka szlachetczyzny. Jestem bardzo daleki od potępiania w czambuł szlachty polskiej. Można wiele powiedzieć na jej obronę, można mówić o tolerancji religijnej, o dużym procencie narodu, należącym do tej warstwy, o indygenatach, o szlachcie-gołocie, o tym, że w stosunku do chłopa nie doszło u nas do tych ekstremów, do jakich doszło we Francji przedrewolucyjnej, w Niemczech, w Hiszpanii do dni ostatnich. Lecz przede wszystkim był to okres historyczny, który być musiał. Ludzkość uczy się powoli, w trudzie i krwi i cierpieniu, do prawd najprostszych dochodzi po wiekach szamotania się i męki. Wykrzykiwanie z pianą na ustach przekleństw i wymysłów na ową epokę jest zawsze demagogią, jest przede wszystkim niezrozumieniem procesów dziejowych. Ale nasza historia, zahamowana w swym rozwoju przez niewolę, zatrzymała się w końcu wieku XVIII-go. Nie wytworzyliśmy demokracji mieszczańskiej, nie przeszliśmy tego etapu rozwoju społecznego, całą energię narodu pochłonęła walka o wolność. Z okresu — nazwijmy go w żargonie dzisiejszym feudalnym — przeszliśmy odrazu w okres nowożytny, w okres łamania się demokracji z totalizmem. Oczywiście weszliśmy do tej walki nieprzygotowani. W naszym typie psychicznym przeważał typ dawnego szlachciury. Ale jakiż to był szlachcic, pożal się Boże. Nietylko ubrany w obcisłe wytarte ubranko, przyciśnięty biedą, nieprzystosowany do życia, ale wciśnięty w nowe zupełnie środowisko miejskiego życia, przeważnie urzędowego. Warstwa szlachecka na wsi zatraciła przede wszystkim swą podstawę ekonomiczną. „Tatuś" K. I. Gałczyńskiego. Jakieś szczątki — odblaski burżuazyjnego trybu życia, jakieś liberalne ideałki, jakieś strzępy tych wielkich przemian, które w międzyczasie zaszły w całej Europie, ba! niemal na całym świecie. Treść jednak kulturalna, owa zasadnicza postawa, jakie ów spadkobierca dawnej szlachty polskiej posiadał, była epigońsko-szlachecka, na inną nie było go stać. Epigonowie dziedziczą najgorsze cechy okresu wzniesienia się danej kultury. To też „szlachectwo" Polski międzywojennej było karykaturą szlachectwa, bez żadnych niemal jego wartości, ale ze wszystkimi „pufami". Ono to właśnie, to epigoństwo szlacheckie budowało w Polsce tamy w poprzek i wzdłuż, ono to właśnie dzieliło naród. „Znaj mości chamie, co to szabla, szabla to jest szlachecka broń, siekierą zabił Kain Abla, więc Bóg „przeklinam" wyrzekł doń. A szlachcie dał Bóg karabelę...". Lecz cóż to był już za mizerny puf, skoro została jeno poza, a karabelę ów nowoczesny szlachcic z pretensjami dawno stracił, często jej nigdy nie miał. „Znaj, mości chamie..." — to była demokracja lat ostatnich. I raziło nie tak mocno owo „chamie", ile owo „mości", owo podawanie ręki łaskawe, owo zniżanie się, bo takie czasy przyszły... Ta „szlacheckość", nic wspólnego z dawną, już historyczną, skończoną i zamkniętą szlacheckością nie mająca, raziła... Przeciw tej „szlachetności" występowano.

Takie to powstały urazy w narodzie polskim do naszej przeszłości, liczą ją od wieku XVI-ego.

To trzeba pamiętać, trzeba zrozumieć i odczuć, by pojąć dlaczego szukamy w historii innych epok, chcąc na nich oprzeć się, jak na fundamencie, chcąc nie zerwać kontaktu z tym rodzimym pranurtem, chcąc czuć się nowym nurtem w odwiecznej polskiej rzece. A idzie okres nie kosmopolityczny, lecz uniwersalistyczny. Świat staje się jednem bardziej, niż kiedykolwiek dotychczas. Jeśli można mówić o partykularyzmach, jeśli jeszcze dalecy jesteśmy od idealnej jedności, to w każdym razie jesteśmy równie dalecy, już dalecy od dawnych partykularyzmów miniaturowych państewek.

Czasy piastowskie to czasy, gdy również żyła idea uniwersalizmu. A jednak były to czasy, w których pierwiastek narodowy, krystalizował się i formował, w którym istniały konflikty między tym, co rodzime i tym, co uniwersalne, ale w którym usiłowano dojść do syntezy. Dziś dobrze rozumiemy, że nam tę syntezę osiągnąć łatwiej po tylu wiekach doświadczeń. W szukaniu wzorów, nie wzorów nawet lecz podobnych sytuacyj dochodzimy do pierwotnych naszych dziejów historycznych, do pierwszych Piastów.

A były istotnie to czasy pierwotne. Nad Polską szumiała nieprzenikniona, niedostępna, dzika i głucha puszcza. W puszczy tej na rzadkich polanach siedziały rodziny, rody i plemiona ledwo w jedną całość państwową złączone. Trzeba było budować i budować z niczego. Owszem wzorów nie brakło, wzorów tych była wielka obfitość, więcej znacznie, niż to przeciętny podręcznik historyczny podaje. Była chrześcijańska kultura łacińska, była ulegająca jej częściowo kultura germańska, było Bizancjum, były wzory normańskie, były wpływy mongolskie, były wreszcie dalsze i odleglejsze powiewy — arabskie, żydowskie. Wszystko to przepływało przez puszczę szlakami wędrowców i kupców, misjonarzy i wojowników, obieżyświatów i karierowiczów, awanturników i świętych. Trzeba było wybierać i nie dać się wchłonąć bez reszty. Sama Polska, same granice i państwowe i plemienne nie były ostro zarysowane. Wiele ziem uważano za swoje i trzeba było z nich rezygnować. Inne włączano w obręb państwa. Sąsiedzi mieli takie i inne pretensje. W tym chaosie należało wybrać, trafić nieomylnie, oprzeć się sile i namowie, odróżnić wartość od pozoru i budować, budować wielkie i silne państwo, jeśli nie chciało się podzielić losu Wilków czy Obotrytów. I z czym budować, z kim, z jakimi świadomymi siłami? To nadludzko trudne zadanie naród wypełnił. Nie można wszystkiego tego zapisać tylko na rachunek genialnych władców, Mieszków i Bolesławów, zresztą skąd oni się wzięli, z kogo wyrośli, gdzież mieli swe korzenie i z jakiej gleby czerpali swe siły. Naród, ów nieświadomy siebie, półdziki naród wybrał, zdobył się na decyzję i czyn — i zwyciężył.

Czyż dziwne jest, że my dziś, w okresie zamętu pojęć, w okresie, gdy świat cały szuka sobie drogi właściwej, gdy mamy wprawdzie nie pustkę puszczy, lecz pustkę ruin, że my dziś zwracamy oczy ku owej epoce zwycięskiej, by sił zaczerpnąć i mocy. Mocy wyboru, decyzji i czynu.

A była to epoka jeszcze jednego starcia. Starcia pogaństwa z chrześcijaństwem, puszczy i ziemi i człowieka wierzącego w tę ziemię i zabobon tej ziemi ze światem, który ukazywał świat inny. Polska wybrała chrześcijaństwo, inaczej niż plemiona słowiańskie, osiadłe za jej granicą zachodnią. Polska pokochała ten nowy świat i ze światem tym zespoliła się ściśle. Jeśli do ideału narodu chrześcijańskiego nie dociągamy, jeśli go wypaczamy czy nawet nie dostrzegamy, to jako naród nigdy nie chcemy go negować. Uważamy, że trzeba go poznać, trzeba doń się piąć, trzeba go wybrać jako drogowskaz wysiłków. A przecie Polska Piastów to była Polska świętych. To była Polska wiary naiwnej i półpogańskiej, ale była to Polska, która — nie pojmując często istoty i głębi chrześcijaństwa — wybrała ten właśnie drogowskaz. Dziś zdajemy sobie sprawę z poganienia świata, kultury współczesnej i siebie samych. Szukając dróg do wyjścia, szukając drogowskazu, czyż dziwne jest, że zwracamy oczy ku owej epoce, tak bardzo rodzimej, a tak gorąco dążącej.

Jerzy Ciechocki

Lucyna Pruszyńska

Praczka Małgosia

Powszechnie zwano ją w mieście głupią,
Małgosią — praczką.
Z twarzą wyssaną głodem — półtrupią —
zawsze z węzełkiem lub ciężką paczką.

Takie to było małe i ciche,
ledwo okryte w szmaciny liche,
Nie zawadzając nigdy nikomu,
codzień wstawała chyba najraniej
z całego domu.
Gdy gracze bridża kończyli robry,
szła, by się modlić w kościele na Mszy:
„—O, bo świat teraz taki niedobry...—"

A Pan Bóg nie był łaskawy dla niej,
a może właśnie był najłaskawszy,
aby zawstydzić wyniosłą pychę.

Takie to było nędzne i ciche,
że ktoś ją nazwał dziwnie: „Niktosia",
co to niczyich oczu nie skupia,
bo to jest tylko praczka Małgosia:
Małgosia głupia...
Poszłam raz do niej z brudną bielizną.
W dole suteryn, gdzieś pod schodami
pachnie kapusty kwaśnej zgnilizną,
ktoś śpiewa drżąco: — „Módl się za nami...—"

W oparach dymu nad balią zgięta,
czerwone ręce zanurza w mętach,
pierze brud świata w stercie bielizny.

— „Bo to za dusze —

I znowu śpiewa głosem gruźliczym
ta, która w świecie jest mniej niż niczym —
głupia Małgosia nad balią zgięta
z Bogiem się brata,
pierze brud świata
Małgosia święta.

Tak ,to są życia bujne pokłosia.
Poezjo szarych! Czas zmienić berło.
Kiedyż zrozumiesz, jaką jest perłą
biedna Małgosia?

I kiedy — głowy wzdęte od pychy
złodziejskich sprytów — łokcie kanciate,
brzuchy obżarte — pyski zażarte
swoją właściwą wezmą zapłatę:
górę niewartych bibuł pieniędzy,
a ucałują praczki ślad cichy,
jak Bohatera Pracy i Nędzy?...

Andrzej Jar Górecki

Akcja »Lótnisko-Bielany«

Siedzieli w nawpół rozwalonej szopie. Zdala od drogi. Normalnie, jak przed każdym „numerem", radośnie błyszczały oczy i chłodnice lśniących Błyskawic.

„Nie brałem ci. Poszukaj dobrze, a napewno znajdziesz". Oliwa bronił się z udaną szczerością. Żbik i Misik dusili się od śmiechu. Łodzik klął i podejrzliwie patrzył na Oliwę. Szukał.

„Dokładnie pamiętam. Obydwa włożyłem w lewą kieszeń. Trzeci jest w rurze..." monologował głośno. Na dowód uniósł Stena w górę. Chłopcy parsknęli śmiechem.

„Sprawdź. Może tam dwa siedzą". Przygryzka Oliwy przepełniła przysłowiowy kielich. Zamachnął się Stenem. Nie zdążył go jednak spuścić na upatrzone miejsce. Wpadł Arbuz. „Stary idzie!". Oliwa rzucił Łodzikowi magazynek. Wszyscy wiedzieli. Za chwilę wejdzie Jan z uśmiechem na oczach i ustach. Tym swoim, rozbrajającym. Dziecinnie szczerym.

Zobaczył go jednak z daleka Witold. Szybko podszedł do niego. Krótki, żołnierski splot dłoni.

„Wszyscy?" — spytał kapitan.

„Nie przyszedł jeszcze Sawicz i Traktor. Czekamy na nich i na plastic. Dzisiaj ważniejsze to drugie" — uśmiechnął się Witold.

„To nic. Mamy jeszcze czas" — spokojnie odpowiedział Jan. Usiedli w trawie.

Daleko przed nimi lotnisko szarzało swą płaszczyzną. Jednostajną i bezmierną. Horyzont opadał i gdzieś na krańcach wzroku przelewał się falami chmur. Ostatnie samoloty majestatycznie spływały z góry. Dotykając ziemi, podskakiwały i chwiały się na boki, ciągnąc za sobą ogon kurzu. Śmieszne i jakby nieudolne. Motory pracowały spokojnie i głośno. Gasły potem jedne po drugich, zachłystując się nagłą próżnią cylindrów. Mrok i cisza obejmowały w posiadanie ziemię.

Przyszli Sawicz z Traktorem. Obładowani plasticem i zakłopotaniem spóźnienia. Chwilę porozmawiali i kapitan z Sawiczem zaraz ruszyli w stronę lotniska. Raz jeszcze sprawdzić rozmieszczenie Junkiersów.

Ściemniło się zupełnie. Górą przewalały się chmury, pędzone wzmagającym się wiatrem. Świszczące jego podmuchy jedyną melodią napełniały noc. Smutną i monotonną.

Wrócili zadowoleni. Plan Sawicza w prostych zarysach, przewidujący w szczegółach i dziś nadawał się do wykonania.

Szopa zapełniła się chłopcami. Sawicz stał pośrodku. Krótka odprawa bojowa.

„Oddział zaraz wyrusza marszem ubezpieczonym. Patrol Oliwy ubezpiecza robotę i osłania wycofanie. Grupy Fredry i Jodły wykonają roboty minerskie. O wykonaniu meldują. Punkt dwunasta na mój gwizdek jednoczesne zapalenie i jak najdłuższy odskok przed wybuchem. Droga odskoku i miejsce zbiórki znane dowódcom. Szczegóły: Junkiersy stoją półkolem sto metrów od drutów i około 40 metrów jeden od drugiego. Piąty, prawoskrzydłowy, wysunięty jest jakieś 80 metrów w bok. Długość lontów jednakowa. Samolotów pilnują dziś dwa patrole lotników po trzech ludzi każdy. Wszyscy z automatami — Wehrmachtówki. Patrole obchodzą teren wzdłuż drutów, ruchem wahadłowym, mijając się co jakieś dwadzieścia minut na wysokości samolotów. Obowiązuje bezwzględna cisza i zakaz palenia. Czy każdy ma opatrunek osobisty?".

Kiwnęli głowami, myśląc już o czymś innym.

Szykowali się do drogi. Ostatnie sztachy papierosów.

Oliwa wepchnął zapasowe magazynki za pas płaszcza. Uśmiechnął się do Żbika i Łodzika. Wyszli.

Z dołu unosiły się opary i wisiały nisko nad ziemią, kłębiąc się puchem swej masy. Oliwa prowadził szybko i zdecydowanie. Ręka ze Stenem spuszczonym w dół, cięciwą swego ruchu, miarowo odmierzała krok. Szli w milczeniu i w mgle. Wzrok wparty w mrok, łowił podsłuchem ucha szelesty nocy. Stanęli. Żelazne kolce drutów wytyczały granicę, którą dzisiaj przejść musieli. Cicho klaskały nożyce. Druty zwolna opadały, zwisając się klęską swej niemocy. Ostrożnie odgarnęli je na bok. Przejście było gotowe. Pociągało swą tajemnicą i nęciło przedsmakiem przygody. Zwolna nadchodził oddział. Mijał lukę drutów i rozchodził się zaraz na boki. Jak pary figurowego walca.

Na rozszerzone ciemnością i ciszą źrenice oczu powoli wpełzały zarysy maszyn. Rozdęte odwłoki kabin, przecięte szeroką płaszczyzną skrzydeł. Matowo wsiąkała w przestrzeń i noc czerń ich barwy. Przechylone wtył kadłuby łyskały celofanem okienek. Motory zawieszone w górze milczały bezwładem swych śmigieł. Aluminium, mosiądz i nikiel w tajemniczych skrętach i zwojach oplatały je szerokim kołem cylindrów, rurek i przewodów. Wystające maszty anten sterczały wyczekującą gotowością.

Traktor ciekawie oglądał Junkiersa. Smok miał trzy motory, potężną kabinę, no i te krzyże. Wyglądały teraz jak olbrzymie plusy. Za co? Może za barbarzyństwo rozbijania kościołów, szpitali i ochronek. Hm — śmieszne bywają skojarzenia. Oglądał go dalej. Bydlak miał jeszcze jaśniejsze plamy na kresach swych skrzydeł i ogona. Aha! Żółte pasy — znak przydziału wschodniego frontu. Musiał w ponurych dniach Victorii wozić na zagrożone punkty frontu plutony szczeniakowskich już SS-manów. Uzbrojonych po zęby w nowoczesną broń i taką etykę. Sadystów i degeneratów. Ładunek powrotny napewno był skromniejszy. Wracali już załatwieni. Bez tego czy innego fragmentu własnego ciała. Bezduszne strzępy ludzkich łachmanów.

Dojście było jednak trudne. Powoli wdrapał się na dach kabiny. Wczołgał się po nim do przodu i łagodnie zsunął się na skrzydło. Płat miał gładką, oślizgłą powierzchnię, mocno opadającą wtył. Leżąc na nim, stale zsuwał się w dół. Witold przytrzymał mu nogi. Podał plastic. W dwukilowej cegiełce zaklęta potworna siła. Zaczął pracować.

Mgła jeszcze zgęstniała. Mrok stał się czarniejszy i jakby dotykalny. Idealne tło ich pracy.

Z boku niesiony oddechem wiatru, spłynął szelest. Wcześniej wyczuty, niż usłyszany. Nadchodził patrol. Zciszone kobiercem trawy kroki, zwolna się przybliżały. Przerwał pracę. Niemcy zaczęli rozmawiać. Niewidoczne ich postacie mijały maszynę i szły dalej. Przeszli. Trzeba teraz przeczekać.

Głosy znów się zbliżały. Ci, podobnie jak pierwsi, prosto kroczyli nakazaną trasą. Szczęśliwi swą samotnością i dumni dobrze pełnionym obowiązkiem. Ludzie-roboty. Pozytywki, znające melodię tylko swego, stale nakręcanego walca. Wiadomo — szkopy.

Traktor wreszcie skończył. Lont zwisał ku ziemi przeznaczeniem Damoklesowego miecza. Czasu zostało jeszcze dość. Powoli przeszedł do sąsiedniego aparatu.

Tu już też kończyli. Arbuz z nudów wymontował z maszyny bębny C.K.M-u. Ciężkie były i krągłe. Obiecujące swą zawartością. Traktor wślizgnął się do kabiny. Poczuł znajomy, mdły zapach. Mieszaninę prochu i krwi. Duszno było i ciemno. Błądząc ręką po ścianach, przesuwał się do przodu. Z podłogi wystawały jakby koła i rury. Uderzył głową o jakąś przeszkodę i nagle poleciał w dół. Wściekły, zaklął pod nosem. Próg oddzielał od reszty kabiny sanctuarium pilotów. Deska rozdzielcza pokryta była plamami różnorakich zegarów. Cyfry i wskazówki tajemniczo błyszczały w ciemności. Dotykał wszystkiego, interesował się każdym szczegółem — jak dziecko.

Oho! Chwilę nadsłuchiwał. Tak. Znów nadchodził patrol. Szybko przesuwał się do wyjścia. Nie zdążył. Wcisnął się w ścianę kabiny przy wyjściu. Z drugiej strony zbliżały się także miarowe kroki.

Spotkali się z tej strony samolotu. Gadali długo. Wreszcie, jak się zdawało, każdy wyciągnął swoje papierosy Zapałki gasły na wietrze. Poczęli iść kupą w stronę maszyny. Serce podeszło w górę i poczęło bić szybciej znanym prologiem czynu. Mocno ścisnął Visa. Stanęli pod samym kadłubem. Mógł ich dosięgnąć ręką. Ściana samolotu zatrzymywała wiatr. Kolejno nachylali się do ognia — przypalając. Migotliwy płomyk oświetlał kontury twarzy. Z pod okapów hełmów wychylały się gęby czerwone i tłuste. Znajome. Zgasła zapałka. Coś cicho plasnęło w trawę. Któremuś wypadło pudełko. Błysnęło światło latarki. Przesuwało się po ziemi, niebezpiecznie dotykając krańców samolotu. W ułamku jego ruchu dojrzał podnoszącą się wolno lufę Stena. Wiedział. Tam, pod skrzydłem maszyny stał Spad. Mechanicznie uniósł Visa. Sekundy stały się martwe. Szkop znalazł wreszcie swoje pudełko i drogę dalszego życia. Światło zgasło. Powoli, śmiejąc się z czegoś ordynarnie, rozeszli się na strony.

Meldunki już przyszły od wszystkich. Dochodziła dwunasta. Sawicz niecierpliwie gryzł gwizdek, spoglądając co chwila w fosforyzującą tarczę zegarka. Ołowiem płynął czas. Cisza, pomnożona oczekiwaniem, wgryzała się w uszy. Daleko, z boku lotniska, od góry, rodziło się i gasło światło. Rytmem swego migotu spychając wlekące się sekundy. Lampa wieży lotniska.

Gwizd donośny i długi przerwał napięcie oczekiwania. Zgodnym dźwiękiem zaszczekały angielskie zapalarki. Tańczące paciorki iskier pochłaniały długość lontów. Szybki bieg nóg oddalał chłopców od wulkanów.

Wtem, gdzieś z boku wypadła długa seria. Jazgotliwa i niepokojąco bliska. Zaśpiewał Sten. Rozdrażnił tamtych. Strzały posypały się gęste, seryjne. Szkopy biegli z obu stron, strzelając i krzycząc. Powietrze pęczniało od błysków i huków.

Biegli szeregiem. Jan, Sawicz i Witold. Z tyłu dopalały się lonty. Z boków nadbiegała wściekłość, dysząca trzaskiem automatów. Do drutów jeszcze daleko. Czy zdążą? Ktoś biegł przed nimi. Ciężko i głośno. Stęknął nagle i upadł. Coś potoczyło się w trawę. Nadbiegli. Arbuz był ranny. W biodro. Witold uniósł Błyskawicę. Wystrzelony magazyn powstrzymał na moment szkopów. Jan z Sawiczem unieśli Arbuza pod pachy. Jęczał i powtarzał: „Bębny, gdzie moje bębny?". Pociągnęli go w zbawczą lukę drutów.

Patrol Oliwy przypuścił Niemców do siebie. Tuż, na metry. I nagle żygnął ogniem. Trzy serie Błyskawic hucząły aż do wyprostowanych sprężyn magazynków. Odpowiedziały im jęki i cisza.

Wydłużonym, równym biegiem dopędzali tamtych.

Lekko drgnęła ziemia. Odwrócili się jak na komendę. Wszyscy.

Z lotniska buchnął płomień. Ogłuszający huk unosił w górę kłęby dymu, mieniące się płomieniami ognia. Jeden, drugi, trzeci, czwarty...

Cisza. Darta trzaskiem palących się samolotów, terkotem wybuchającej amunicji i szumem płonącej benzyny. Jeszcze czekali...

Jan powoli przesuwał wzrokiem po ich twarzach...

I znowu jęknęła ziemia. Potężny grzmot zabrzmiał, jak ostatni ton akordu. Spóźniony, lecz pełny. Rozjaśniły się oczy.

Stolica witała salutem wybuchających Junkiersów tradycyjne wielkiego święta. Trzeci Maj grzmotem wybuchów i łuną nieba rzucał okupantowi w twarz odwieczną prawdę: Nieśmiertelność Narodu.

Twarze chłopców krzyżowane przez ogień i dym, były twarde i — radosne.

Nagle z przeciwległego krańca lotniska, gdzieś aż z nad Wisły, wytrysnęła cienka nitka zielonego światła. Pięła się szybko ku górze, znieruchomiała na moment i rozpadła się na kilka migotliwych gwiazd. Poczwarne kształty chmur zajaśniały trupim blaskiem. Spalona rakieta, jak zestrzelony ptak, opadała w dół.

Oddział szybko się oddalał. Jeszcze kilkakrotnie wykwitały w górze palmy zielonych i czerwonych błysków. Głucho, jakby z pod ziemi, wydostawał się tak dobrze znany dźwięk. Wibrował coraz wyżej i głośniej. Potężniał, by znów w jękliwych spazmach opadać w dół. Wzrastał i ginął zawodzącą melodią niepokoju. Alarm!

Oddział skręcił w prawo. Oddalał się od miasta. Wielkim łukiem omijał Warszawę i drogi, które już napewno patrolowały terenówki Wehrmachtu. Goniły go dymy pożaru i ryk alarmowej syreny.

Mgła opadała na ziemię i rzedła. Zapalały się spóźnione lampki gwiazd. Wiatr ucichał. Przed nimi, gdzieś za przyczajonym zrębem horyzontu, leżały Włochy. Zielone wagony EKD czekały na pierwszych pasażerów. Wytrwale szli na Zachód.

Andrzej Jar-Górecki

O moralność społeczną

W styczniu rozpoczęły swoją działalność Sądy Specjalne, mające na celu walkę z wojennymi plagami społecznymi — z korupcją, nadużyciami, trwonieniem i handlowaniem mieniem społecznym, z „szabrownictwem", które nie jest niczym innym, jak zatraceniem przez wielu ludzi całkowitego poszanowania pojęcia własności. Akcji tej należy życzyć jak największego powodzenia, i by na jej czele stanęli ludzie naprawdę nieskazitelni moralnie, słudzy li tylko sprawiedliwości, a nie czyichkolwiek osobistych, czy politycznych interesów.

W związku z tym szereg pism rozpoczęło publikować wypowiedzi, mające na celu skłonienie społeczeństwa do pełnego poparcia akcji Sądów, co i raz publikuje się odpowiedzi na pytanie — czy donoszenie o nadużyciach jest zasługą i obowiązkiem społecznym.

Odpowiedź może być tylko jedna — oczywiście, że tak. Istnieje w społeczeństwie polskim dziwna czasami pruderia, czy źle pojęta solidarność, nie pozwalająca na tępienie poważnych często przestępstw. W imię dobra społecznego trzeba z tym skończyć.

Jednak brak jest do tej pory zarówno ze strony władz, jak i społeczeństwa jednego, bardzo zasadniczego ostrzeżenia.

W żadnej akcji społecznej nie wolno się posługiwać anonimami! Anonimowe oskarżenia są najgorszym przejawem demoralizacji, jaką siał okupant. Dzięki nim wyzwoliły się u ludzi najgorsze instynkty zemsty, zawiści, oszczerstwa. Nasze władze policyjne po wojnie nigdy nie potępiły dość mocno ten nikczemny proceder.

W imię moralności społecznej wzywamy władze policyjne i sądowe do ostatecznego potępienia oskarżeń anonimowych, o bezkompromisowe przesądzenie, że nie będą one nigdy wykorzystywane, o stwierdzenie, że jako broń tchórzów i szubrawców mogą one być tylko ochroną właściwych przestępców.

Wojciech Kętrzyński

Ostrze na ostrze

Parę pytań

W kapitalnej dyskusji pomiędzy Edwardem Jastrząbem a Arturem Sandauerem, jaka się toczy na łamach „Życia Literackiego" i „Kuźnicy", padły zasadnicze uwagi na tematy kryteriów etycznych, na jakich się opiera światopogląd marksistowski i chrześcijański. Oczywiście normy moralności, stwierdzone przez religię katolicką, zostały zaklasyfikowane według znanego schematu „kapitaliści — obszarnicy — reakcja".

Pozwalamy sobie na przedrukowanie pytań, sformułowanych przez Edwarda Jastrząba w jego polemice („Życie Literackie" 1.II.46).

1. Czyim interesom klasowym wysługiwał się Mojżesz, ogłaszając ludowi żydowskiemu Dekalog, objawiony mu na górze Synai?

2. Czy słuszne jest twierdzenie Nietzschego, jakoby chrześcijaństwo było religią niewolników, oraz ludzi słabych i upośledzonych społecznie w obrębie rzymskiego imperium?

3. Jeżeli tak, to w jaki sposób te same zasady uznane zostały w tysiąc osiemset lat później za narzędzie kapitalistycznej przemocy klasowej?

4. Czy jedna i ta sama prawda może sprzyjać różnym interesom, zależnie od tego, kto ją w danym okresie propaguje i za swoją uważa?

5. Dla czego wskazania moralne, obowiązujące wyznawców Buddy, Chrystusa czy Konfucjusza, są w wielu wypadkach poprostu identyczne, mimo, że każdy spośród wymienionych systemów powstał w innym czasie i w innej przestrzeni, w innych warunkach socjalnych i geopolitycznych?

6. Czy mamy prawo uznać, nie narażając się na oczywistą śmieszność, że wszyscy twórcy religii wyżej wymienionych byli narzędziami możnowładców i grup panujących, które poczynania ich finansowały?

„Będziemy wdzięczni za miarodajnych parę słów" zwraca się do marksistów autor tych pytań.

Wydaje nam się, że dla dobra przedłużającej się dyskusji wartoby zwolenników materializmu dziejowego zachęcić do szybkiego sformułowania odpowiedzi. A nuż przyjdzie nam przedrukować p. Sandauera?

(w)

Ostrze na ostrze

Dr. Jekyll i mr. Hyde

Gdy czytam artykuły p. Żółkiewskiego i wypowiedzi p. żłk., z nieodpartą siłą nasuwa mi się skojarzenie z „Człowiekiem o dwóch twarzach“. Znana jest wszystkim ta opowieść, w której wytworny, kulturalny doktór Jekyll przeobraża się w brutalnego mr. Hyde‘a.

Nie mam zamiaru dyskutować z p. Żółkiewskim, znakomitym, pełnym erudycji i umiaru publicystą, natomiast atmosfera „Not“ p. żłk. budzi we mnie niepokój, czy nie zachodzi tu jakiś tajemniczy przypadek, rozszczepienia osobowości.

Milczałbym, zgodnie z „zaleceniem“ p. żłk., gdyby nie to, że szereg różnych wystąpień mr. Hyde‘a zostało ukoronowanych wypowiedzią w Nr 7 (25) „Kuźnicy“, którą przytaczam in extenso:

„SKOŃCZYĆ Z TYM!

Namyślałem się długo — co robić, gdy przeczytałem w ogłoszonym wierszu jeszcze okupacyjnym zmarłego tragicznie poety o przyszłej Polsce: „Imperium gdy powstanie, to tylko z naszej krwi“. Co robić z takimi akcentami faszystowskiego imperializmu?

Idzie tu o poetę konspiracyjnej grupy „Sztuka i Naród“, skrajnie prawicowej, co tu gadać — antydemokratycznej, co tu owijać w bawełnę — faszystowskiej, co tu zmyślać — powiązanej personalnie z b. OWP, z b. ONR, z b. Falangą!

Nie mam zamiaru sądzić tych chłopców. Niektórych znałem. Tłumaczyła ich młodość, dezorientacja, totalna ignorancja, analfabetyzm społeczny i domowe tradycje korporanckie.

Do napisania noty zmusił mnie wreszcie zb. z „Odrodzenia“ — nawet on — aprobujący fałszywe, legendotwórcze, mistyfikujące, czy może tylko reklamiarskie artykuły o tej grupie — pisane przez kolegów, którzy przeżyli. Artykuły takie umieszcza nawet oficjalne wydawnictwo M. S. Z., nie informując o innych przejawach życia literackiego w Polsce.

Otóż: proszę z tym skończyć!

Młodzi pisarze, którzy przeżyli i zrozumieli swoje błędy, niech pracują i dadzą dowody patriotyzmu i rozumu politycznego. Polska dała im możność pracy i całkowitą swobodę.

Ale proszę skończyć z gloryfikowaniem swojej przeszłości i tworzeniem legend.

„Sztuka i Naród“ bowiem drukowała nietylko debiutanckie wiersze. Drukowała także artykuły.

I jeśli bawimy się w historię — to może by tak przytoczyć niektóre z nich dla charakterystyki?

Może właśnie polemikę z r. 1943 zmarłego Łomienia — z „Przełomem“, redagowanym przez Bieńkowskiego i Żółkiewskiego?

Może denuncjowanie walczących polskich partii demokratycznych, jako najemników obcych mocarstw?

Co u diabła! Chociaż milczcie! Jeśli wstydu trochę zostało. **żłk“.**

Sądzę, że tym razem p. żłk. przesadził w swej reakcji i poniósł subiektywną szkodę. Po pierwsze będąc jednym z wybitniejszych uczniów szkoły logistycznej, pokierował się uczuciem, po drugie będąc materialistą, wprowadził do dyskusji diabła, w którego nie powinien wierzyć.

Ale dosyć żartów, proszę z tym skończyć!

Zawsze wierzyłem i wierzę w dalszym ciągu, że można dyskutować najbardziej sprzeczne problemy w atmosferze taktu. Dlatego zdumiewa mnie „Kuźnica“, że nadaje swoim wystąpieniom tak niewybredną formę. Proszę bardzo, atakujcie. Jaknajostrzej. Ale nie tak. Co Pan wniósł twórczego, Panie żłk., że kilku poległych chłopców nazwał Pan ignorantami, analfabetami itd.

Jakie Pan ma prawo do twierdzenia, że artykuły o Nich i Ich twórczości są fałszywe, mistyfikujące, czy deklamiarskie?

Jakie ma Pan prawo do wydania krótkiego rozkazu „proszę z tym skończyć?“.

Środowisko, w którym ci chłopcy żyli i działali, popełniało błędy polityczne. Ale jednocześnie grupy bojowe tego środowiska poniosły w walce z okupantem bodaj że największe procentowo straty z pośród wszystkich organizacyj niepodległościowych. Nie mamy zamiaru bronić, a tym więcej gloryfikować naszych błędów, ale mamy zamiar i będziemy utrwalać pamięć wszystkich naszych poległych bez względu na to, czy to się Panu podoba, czy nie.

Właśnie tacy i podobni chłopcy AK, AL‘u, czy innych organizacyj bojowych, nadawali styl w walce o niepodległość. Swoim oddaniem, bezkompromisowością, bezinteresowną ideowością.

Błędy? Historia? Czy wy nigdy nie robiliście błędów? My się przeszłości nie boimy. Wyciągamy z niej tylko wnioski. Może Pan cytować polemiki ś. p. Łomienia. Ale poco ten tani chwyt o denuncjacjach polskich partii demokratycznych? Co Pan chciał przez to osiągnąć?

Wracając do poległych poetów „Sinu“ i Konfederacji Narodu, chcę stwierdzić, że walce naszej poza odzyskaniem niepodległości przyświecał cel radykalnej przebudowy ustrojowej Polski, opartej na chrześcijańskiej doktrynie społecznej, zrewolucjonizowania psychiki polskiej, budowy wspólnoty słowiańskiej. Drogę do tego celu widzieliśmy we wszechstronnej twórczości ideowej i w walce czynnej, w której straciliśmy 711 towarzyszy broni. W atmosferze twórczości i walki zbrojnej pracowali i wychowywali się tacy ludzie, jak Trzebiński, Gajcy, Bojarski, czy też Pietrzak, Moszyński, Cybichowski, Kopczyński i legion innych, których nie sposób wymienić wszystkich.

Chcemy o nich pisać, aby pokazać ich takimi, jakimi byli. Pokazać pięknych ludzi. Piękni ludzie mogli być nawet „w skrajnie prawicowej, co tu gadać, antydemokratycznej, co tu owijać w bawełnę, faszystowskiej“ i t. d. , i t. d. grupie.

Dziś wypracowana dawniej koncepcja wspólnoty słowiańskiej uległa dużej ewolucji i stwierdzić możemy, że niezręcznym był ówczesny termin „imperium“. Ale o duchu naszych prac niech świadczy Panu nie ten, jak Pan pisze „faszystowski imperializm“, lecz ostatnia zwrotka piosenki:

„Poniosę nad granicę kaliny, kłosy, bzy,
To z nich granica będzie — z miłości,
a nie z krwi“.

Piosenka ta powstała wczesną jesienią 1942 r., gdy pierwsze oddziały partyzanckie Uderzenia wyruszyły w pole. Ma wartość dokumentarną. Niech Pan nie wymaga od nas fałszowania dokumentów.

J. H.

Żółkiewski sprawdza

Napewno — są sprawy ważniejsze. I choć nie pisze się o nich tak łatwo, jak to stara się wmówić Kott, jednak trzeba koniecznie próbować. Ale nie zawadzi „chwilka dla zdrowia“, chwilka beztroskiego śmiechu. „Kuźnica“ bardzo lubi się śmiać. Zwłaszcza z innych. Ostatnio pokazał się artykuł Ważyka „O szacunku dla czytelnika“. Dowiadujemy się, że wprawdzie w „Kuźnicy“ piszą i marksiści i nie marksiści, choć wszyscy starają się jak mogą być marksistami — ale, że „w tym czasopiśmie redakcja bierze na siebie większą dozę odpowiedzialności, niż w innych. Ponoć w innych odpowiada autor, czy pisze trzeźwo, czy chwyta sie jak pijany płotu“. Wynika z tego, że M. Żuławskiego — który swoje dzieło „O malarstwie angielskim“ umieszcza tuż obok felietonu Ważyka — możemy nazwać „autorem z ograniczoną odpowiedzialnością“. To bardzo dobrze — dla niego. Oto kilka cytatów...

„Chcąc mówić o malarstwie angielskim, nie mogę się na wstępie powstrzymać od uwagi, że malarstwo to jest takie jak wszędzie, ani mniej ani bardziej oryginalne, niż malarstwo w Polsce lub we Francji“. To świetnie, że autor nie mógł się powstrzymać. Dzięki temu uzyskaliśmy całkiem nową, trafną i lapidarną charakterystykę malarstwa angielskiego. „Takie jak wszędzie“...“. I cóż dalej? „Rozwój sztuki zależy jednak od dwóch czynników — od talentu i od dobrobytu społeczeństwa“. Hm. Marksista powinien by zredukować wszystko do tego drugiego czynnika. Niemarksista może by jeszcze kilka czynników dorzucił. Kimże jest autor? Pewno uświetnia szeregi „starających się...“. Jedźmy dalej. „Karol był kolektorem i znawcą...“. Ha! cóż za przykra wiadomość. Chodzący kolektor... Nie dziwimy się, że mu Cromwell obciął głowę.

Znalazłem u Żuławskiego jeszcze jedną myśl oryginalną: „Znakomity malarz angielski James Whistler...“. A tymczasem ludziska twierdzą, z nużącą monotonią, że Whistler był Amerykaninem!...

A teraz małe zestawienie. Żuławski contra Ważyk. Żuławski: „...pejzaże, ludzie i zwierzęta (Rowlandsona) noszą cechy deformacji... Gickert niejako sublimuje się...“. Ważyk: „Wszyscy wiemy doskonale, że słowo „deformacja“ nic nie oznacza, „sublimacja“ jeszcze mniej...“. W tym samym numerze, obok siebie! Oj, waszmościom figle w głowie!

W „Kuźnicy“ był dotychczas jeden chyba tylko dobry artykuł o malarstwie — Henryka Gottliba. Cóż — kiedy Ważykowi się nie spodobał — a Żółkiewski wyparł się go skwapliwie: „nie dopatrzyłem w artykule Gottliba wadliwego metodologicznie rozumowania i fałszywego empirycznie wyniku“. A oto bezbłędna empirycznie, precyzyjna metodologicznie konstrukcja Żuławskiego: „Hogarth był w pewnym sensie wynalazcą komedii o moralnej treści oraz dydaktycznej grawiury, choć Holendrzy robili to przed nim“. Pytanie pierwsze: co robili przed nim? Pytanie drugie: więc właściwie — był wynalazcą, czy nie? „Reynolds zresztą umiał kapitalnie malować, czasem zupełnie na poziomie najlepszych mistrzów renesansu. Gainsborough był mniej biegły, ale często ciekawszy...“. Prawda, jaka zwięzła charakterystyka porównawcza? Jeden kapitalny, renesansowy, biegły — drugi mniej biegły, więc zapewne mniej renesansowy, mniej kapitalny — ale za to ciekawszy. „Cąca terminologia!“ powiedziałby pan Orzelski. A Ważyk mówi tak: „terminologia materialistyczna tym się różni od spirytualistycznej, że jednak składa się z elementów sprawdzalnych. Każdy redaktor może je sprawdzić. Skoro tego nie robią, to widocznie odziedziczyli po latach międzywojennych nadmierny szacunek dla autorów i brak elementarnego szacunku dla czytelnika“.

Widocznie!

J. W. W.

Slepi z własnej woli

Niedawno został, wydany przez Kurię biskupią w Lublinie list pasterski, nawołujący ludność wiejską diecezji do szybkiego i pełnego wykonania obowiązku świadczeń rzeczowych, podkreślający, że jest to zarówno obowiązek społeczny wsi wobec miast, jak obowiązek miłosierdzia każdego Polaka wobce licznych rzesz repatriantów ze Wschodu, zdanych tylko na zasoby publiczne. List ten podkreśla wreszcie, że oddawanie tych świadczeń jest etapem budowania Nowej Polski, takiej, jaką pragnie każdy Polak-katolik.

Ten akt, dowodzący wysokiego poczucia obywatelskiego Hierarchii Kościoła Katolickiego w Polsce zaopatrzony został przez redakcję krakowskiego „Dziennika Polskiego“ ordynarnym komentarzem redakcji, która, zamiast wyrazić swe uznanie dla tego kroku, lub podać go bez komentarzy, pozwala sobie upomnieć przy okazji kler polski, że to wystąpienie „jest jak dotąd wyjątkiem“, że „nieliczne są dobre przykłady i zalecenia proboszczów wiejskich“, kończy zaś swe kazanie wezwaniem, do innych Kurii o podobne wystąpienia.

Trzeba przyznać, że ton tej wypowiedzi nie jest zachęcający dla dalszej współpracy w tej dziedzinie. Inicjatywa Kurii nie oczekuje napewno podziękowań od Władz, lecz komentarze powyższego gatunku wydają się zbyteczne, tym bardziej, że najwyraźniej rozmijają się z prawdą.

Na tej samej stronie Dziennika uważny czytelnik znajdzie nawet tego potwierdzenie. Pisząc bowiem o akcji ściągania świadczeń rzeczowych przez brygadę robotniczą z gminy Sułkowice p. Zbigniew Szarek stwierdza dosłownie:

„Z sześciu gromad w gminie najbogatsza i równocześnie najgorsza jest Wola Radziszewska... Poza księdzem Władysławem Obrządkiewiczem, który **jako jedyny z całej gromady** wywiązał się w 100% z nałożonych świadczeń, co należy specjalnie podkreślić, nie ma we wsi ani jednego gospodarza, który by poszedł w jego ślady“.

„Gromada Sułkowice może się pochwalić księdzem Sidełką, który nie tylko oddał z 10 ha 100% świadczeń rzeczowych, **ale i z ambony publicznie** nawoływał chłopów do spełnienia obowiązku wobec państwa i nawet czytał z ambony rozporządzenia wójta i starosty...“.

Znając „Dziennik Polski“, można zaręczyć, iż nie jest skłonny do wynajdywania wyjątków dla chwalenia postawy katolików i kleru. Postawa księży powyżej wymienionych może być tylko odbiciem postawy większości proboszczów, o której trudno było w sprawozdaniu milczeć.

Komentarz więc do listu pasterskiego może być więc tylko uważany za celową i złośliwą insynuację, i to w dodatku bardzo nie obywatelską.

(w.)

Zbyteczne zmartwienie

Pani Zofia Starowieyska - Morstinowa, bolejąca nad filmem, na którym pokazano zabicie 7-ciu ludzi (Tygodnik Powszechny Nr 2), przypomina mi matkę mówiącą do syna:

— Nie, Jasiu, kategorycznie, zabraniam ci grać w piłkę nożną. To łobuzy, jeszcze cię pokopią!...

Podejście p. Starowieyskiej, jest jednostronnym podejściem do tego rodzaju zagadnień.

Pierwszym punktem godnym uwagi, jest fakt, że film oglądany przez szanowną autorkę, jest filmem produkcji amerykańskiej i przedwojennej. Filmy amerykańskie muszą być dostosowane w pierwszym rzędzie do wymagań publiczności amerykańskiej, a później dopiero do wymagań obcokrajowców. Przyjrzyjmy się mentalności półinteligenta amerykańskiego, który stanowi bardzo znaczny procent ludności U. S. A. Jakie są jego wymagania w dziedzinie sztuki, literatury?...

Jest rzeczą pewną, że ani Walt Whitman, ani Vachel Lindsay nie wpływają na kształtowanie charakteru i osobowości przeciętnego Amerykanina. Nie trafiają do niego też sonety Elżbiety Barret-Browning, ani żadna wielka poezja Starej Anglii. Amerykańskiego przeciętnika kształtują dziwne wydawnictwa, które u nas przed wojną nosiły tytuły: „Świat Przygód“, „Karuzela“, „Wędrowiec“ i t. p. U nas pisma te, przynoszące niezwykłe przygody w kolorowych ilustracjach, przeznaczone były po usunięciu scen o charakterze bardziej erotycznym, dla młodzieży od lat 8 do 15, w Ameryce zaś od lat 15 do 80. Film i wydawnictwa King Features Syndicate stanowiły obok basse-ballu, boksu i wolnoamerykańskich walk w błocie, zasadnicze „kulturalne“ rozrywki Amerykanina. Jaki był tego skutek? Jaki wynik wychowawczy dał ten prymityw kulturalny Stanom Zjednoczonym? Doskonały! Ameryka potrafiła trafić w sedno, zaspakajając w taki sposób intelektualne potrzeby swoich obywateli.

Filmy, na których zabijano z zasady po kilku ludzi, przygody Tima Tylera, Błyska Gordona, sierżanta Kinga i księcia Karola, stały się podłożem do niewiarogodnego bohaterstwa i poświęcenia żołnierza amerykańskiego w obecnej wojnie.

Prymityw kulturalny potrzebował właśnie takich prymitywnych środków. Pisma King Features Syndicate były nieodłączną lekturą amerykańskiego wojska i regularnie, pocztą lotniczą dostarczane były na front. Obok wyborów, Konferencji Krymskiej, sukcesów na Nowej Gwinei, żołnierze U. S. A. niepokoili się o losy Tima Tylera, który w ostatnim numerze dostał się do niewoli dzikiego plemienia murzynów oraz bacznie śledził przygody porucznika Stefana, który wylądował na Marsie i prowadził tam walkę z ludźmi-ptakami. Bohaterowie filmów i pism obrazkowych, czyli w wyobraźni żołnierzy, którzy nie tylko, że chcieli doścignąć ich w bohaterskich i niebezpiecznych wyczynach, ale i nawet zdystansować.

Dojrzały Amerykanin zadawalał się tym, czym u nas chłopiec 14-letni. Sądzę tu po sobie, gdyż mając lat 14 uznawałem pięciu bohaterów ludzkości: Bolesława Chrobrego, Stefana Batorego, Winnetou, Old Shatterhanda i Joe Louisa.

Pani Starowieyska potępia swym artykułem literaturę młodzieżową stylu bohatersko - awanturniczego, której ojcem jest Karol May i nie rozumie kolosalnego wpływu, jaki posiada ona na kształtowanie się ducha żołnierskiego w młodym pokoleniu. A jest to faktem, że w wielu wypadkach May lepiej spełniał swą rolę od Przybrowskiego.

Dzisiaj po wojnie, patrzymy zupełnie inaczej, zarówno na filmy, jak i na literaturę okresu przedwojennego. Wystąpiła dwojaka, skrajnie przeciwna i w obu wypadkach wytłumaczalna reakcja jednostek na ludzką śmierć, na nieszczęście, grozę i niebezpieczeństwo:

— Nie chcemy tego znać! nie chcemy tego słyszeć, ani widzieć — mówią jedni.

— Ha! To świetnie — powiadają inni. — Wojna skończona. Nareszcie ujrzymy na filmach nową bogatą tematykę łapanek, egzekucji, szturmujących czołgów i bombardujących samolotów.

Być może, że reakcja pani Starowieyskiej zalicza się do pierwszego rodzaju. W takim wypadku nic nie ma tu dziwnego, że nie może patrzeć, jak kanadyjski policjant w osobie statysty filmowego po strzale bandyty spada do wody, niczym kaczka.

Szanowna autorka, być może, nie orientuje się, w jaki sposób Królewska Konna Policja Kanadyjska zdobyła sobie tak wielką sławę. Nie stworzył jej ani Zane Grey swym sierżantem Kingiem, ani James Oliver Curwood, ani Jack London. Sława tej policji przeszła z życia do książek tych autorów przez krew i ofiarę życia wielu jej członków, którzy padli w walce o szacunek i utrwalenie prawa. Pani Starowieyska zdaje się nie dostrzegać w oglądanym przez siebie filmie momentu propagandowego, który odgrywa w nim olbrzymią rolę. Film ten ma za zadanie wykazać ciężką i ofiarną służbę Królewskiej Policji Konnej i podkreślić jej znaczenie, co robi z prawdziwie amerykańskim rozmachem, stąd 7 trupów. Ale to przecież Ameryka... Ameryka dla Amerykanów.

Motywem filmu amerykańskiego jest przeważnie śmierć, lub ciężka kara spadająca na „czarne indywiduum“. Film polski nie lubił tego motywu. Może nie chciał robić konkurencji Ameryce, wolał uwiedzioną dziewczynę z ludu, która widząc szczęście kochanka z inną, odchodzi (o zgrozo!) przy akompaniamencie nocturnów Chopina, w ocienioną drzewami aleję, w nieznaną i czarną przyszłość. Film jest doskonały, bo wszystkie pomocnice domowe zalewają się łzami jeszcze przez długi czas po powrocie do domu. Nie sądzę, aby motyw polski był zachęcający dla pani Starowieyskiej. Nie wchodzi w grę przeseksualizowany film francuski i głupia komedia niemiecka, może więc strzelający Kanadyjczycy są najlepsi?

Mówimy wciąż o realizmie. Taniość ludzkiego życia stała się faktem. Realizm nakazuje pokazać ją i uwydatnić, ale i obrzydzić. Przez kontrast trzeba wykazać, że życie jest najcenniejszym fizycznym skarbem na ziemi.

Jest ono nieodłącznie związane z dobrem i złem. Jest walką, w której się na przemiany podnosi i upada, by znów powstać. Nie trzeba się bać pokazania życia takim, jakim jest, bez cienia idealizacji. Idealizowanie staje się bowiem jednoznaczne z samooszukiwaniem człowieka.

Śmierć naturalna, czy zbrodnia, zamach morderczy, czy katastrofa jest zbyt życiowym i zbyt zasadniczym tematem, ażeby można było żądać wyrugowania go ze wszelkich dziedzin sztuki. Jest ona tematem tego pokroju, co miłość, przeżycia religijne, zwalczanie przeciwności życiowych, czy przyjście na świat nowego człowieka. Jest jednym z filarów, na których opiera się tematyka sztuki i usunięcie takiego elementu, zagroziłoby upadkiem całego jej gmachu.

Jako przykład, gdzie sztuka potrafiła uchwycić wartość tematyczną śmierci z całym artyzmem, ale i zimnym realizmem, pozwolę sobie przytoczyć posągi marmurowe pierwszej szkoły pergameńskiej: Gall umierający i grupę z grobowca Attalosa I; Gall zabijający żonę i siebie. Czy tragizm tych rzeźb i ich piękno nie wywołuje w nas wzruszenia artystycznego? Ale przecież to wzruszenie nie koncentruje się nigdy w kierunku sadyzmu, o co posądzałaby nas pani Starowieyska.

Kino, to nie tylko rozrywka, głupia i naiwna, to sztuka, której Sz. autorka odmówiła prawa obywatelstwa.

Jeśli pani Starowieyska pójdzie jeszcze kilka razy do kina, to może stwierdzić, że nie bawimy się wcale tak najgorzej, że zabawa jest raczej dobra niż zła i nie ma powodów do niepokoju.

Podać człowiekowi można wszystko: grzech, zło, morderstwo, oszustwo, każdą zbrodnię, ważny jest tylko przy tym sposób jej podania.

Nie wolno się nią delektować, czego zresztą film amerykański wcale nie czyni. Pokazuje on zbrodnię, jako realnie zachodzący fakt, w danym wypadku jako zdarzenie, z którym Królewska Policja Konna styka się niejednokrotnie w swej ciężkiej i zaszczytnej służbie.

M. A. Wasilewski

SYLWETKI

Sanitariuszka Hanka

Cicha jest noc i cicho wokoło nas. Od czasu do czasu przemknie po niebie reflektor, od czasu do czasu wzbije się w górę rakieta i czerwonym snopem gwiazd rozświetli granat nocy. Jesteśmy sami... Wymarły czteropiętrowy budynek... puste mieszkania, korytarze, schody... wiemy, że gdzieś tam w piwnicach leżą dotychczasowi mieszkańcy — rozłożeni na materacach, kocach, poduszkach — tłoczą się starcy, kobiety, dzieci... Wydaje im się, że tam bezpieczniej, że nie dosięgnie ich złowieszczy syk pocisku...

Dom jeszcze względnie nienaruszony, gdzieniegdzie jeszcze wyrwy od granatów, gdzieniegdzie zwał tynku zastępuje drogę. To dopiero połowa września 1944 roku... na ruinę jeszcze zawcześnie. Na parterze, w szpitalu odcinka X dywizji piechoty czuwają dyżurne pielęgniarki przy świetle lampek, gorączkowe oddechy rannych, czasem jęk cichy, wezwanie najdroższego imienia, biały czepek siostry Anny pochylony nad głową nieprzytomnego podchorążego O.

Wychodzimy na górę, Ty i ja... Skończyłem i ja również dzień pracy. Mamy czas do rana... Mijamy podwójny posterunek w hallu wejściowym; hasło „Gniezno", podaje wartownikowi — odzew „granat" otrzymuję odpowiedź...

Po wymarłym gmachu dążymy na piętro; pokój nietknięty oddechem wojny. Niema śladu zniszczeń, wygodne fotele zda się zapraszają strudzonych, granatowy tapczan, obsypany rojem poduszek, czarny heban aparatu radiowego na tle bieli ściany. Dawne niemieckie mieszkanie. Przekręcam kontakt odbiornika, za chwilę popłyną przez kilometry przestrzeni słowa dawnego walca... Milimetr na prawo „Hier spricht London, hier spricht London" — to wiadomości brytyjskie dla Niemiec; milimetr na lewo „Italia fascista"... — to nadaje jeszcze niestrudzony Mediolan... Wracamy na dawną falę... pieśń brzmi coraz czyściej, nastawiam wyraźnie lecz cichutko, tak, że słychać tylko przy samym aparacie...

Usiądź przy mnie malutka i zapomnij o wszystkim... zapomnij o tym, coś przeżyła dzisiaj, wczoraj i przedwczoraj nie lękaj się jutra; widzę, że w oczach masz strach, że niepokój kraje ci małe serduszko... Wiem, że przez cały dzień pracowałaś za troje, wiem, że wczoraj na inii wśród pocisków nadludzkim wysiłkiem wynosiłaś z akcji ciężko rannych, a również wiem, że jesteś chora na serce, że zgłosiłaś się ochotniczo do pracy w pierwszym dniu powstania, że od 7 tygodni jesteś wzorem i przykładem nie tylko dla sanitariatu, ale nawet i dla wielu żołnierzy... Trzy dni w linii, trzy dni w szpitalu, i znów lnia... i tak od 46 dni. Widziałem nieraz jak po służbie siadałaś w dyżurce śmiertelnie blada, trzymając rękę na stukającym sercu, pragnęłaś choć tym sposobem uspokoić jego rytm nierówny. Ale dla rannych, dla wszystkich wokoło, miałaś promienny uśmiech i zawsze pełną ufności postawę... Wiemy oboje, że wszystko stracone, że powstanie przegrane, że znikąd pomocy, że znikąd ratunku.. Słuchaliśmy razem żałobnych pieni z Londynu (że z dymem, że z szumem...), wstrzymywaliśmy oddech z wrażenia, słysząc poraz pierwszy przez radio płomienne wezwanie Błyskawicy — „żądamy amunicji!" — ale wiemy również, co nadaje Moskwa o powstaniu i co neutralni; zdajemy sobie sprawę, że dni akcji są już policzone, że tam w Londynie rachują nasze dni i godziny (już 46 dni bronią się powstańcy! powtarza upornie komunikat urzędowy); że już koncentracja 3 wyborowych dywizji niemieckich na przedpolach Warszawy skończona; Wiemy, że już niema przed nami zwycięstwa, ale nie naszą jest rzeczą głosić te prawdy. Na posterunku trwać będziesz do końca...

Nie znasz mego nazwiska i ja nie znam Twojego — miła przyjaciółko z Powstania. Pseudonimy wystarczą... Nazywasz się tutaj „Hanka" a masz najcudowniejsze czarne oczy, jakie kiedykolwiek widziałem... Masz męża, który przebywa na szerokim świecie od lat kilku, a pozatym nikogo bliskiego w Warszawie. Wiem, żeś przez 4 lata pracowała w konspiracji, żeś za odwagę przedstawiona została do odznaczenia, że każdy dzień powstania skraca twe życie o lata...

Poznaliśmy się jaknajnormalniej. Byłaś przy opatrunku, gdy lekarz usuwał mi z ranki odłamek... przychodziłem kilka razy na zmianę bandaży... jednego wieczoru spotkaliśmy się na ulicy przypadkiem... Spytałaś strwożona o wiadomości, koniecznie „najlepsze" i „najświeższe" — tak zresztą jak wszyscy mnie wciąż pytali na Mokotowie. Uspokoiłem, że wszystko w porządku, że właśnie zdobyta została kol. Grottgera, że wypad na ul. Kazimierzowską jest udany, słowem podałem jutrzejszy komunikat odcinka... Ale widziałem, że to ci nie wystarcza. Powiedziałaś, że masz najgorsze przeczucie, że zginiesz i sama i padnie miasto, że tylko gruzy będą znaczyć miejsce dawnej stolicy, a cienie zaludnią zwaliska... że ci jest wszystko jedno, bo i tak godziny Twe są policzone, ale postanowiłaś do ostatnich chwil nieść pomoc potrzebującym.

I odtąd (gdy mamy czas) spędzamy wieczory razem, ty drobna, wątła istota o żelaznej sile woli i ja, nieznany oficer z AK. Może naprawdę pokochałaś, gdy po raz pierwszy przytuliłaś swą ciemną główkę do mego ramienia, może to był kaprys tylko lub tęsknota za kimś bliskim — nie wiem, bo rozeszły się wnet drogi nasze i już nie danem nam było spotkać się na świecie.

Pamiętasz, gdy po raz ostatni całowałem Twe miłe usta, gdy po raz ostatni żegnaliśmy się o świcie, nie zapomnę nigdy Twego ostatniego spojrzenia; już nigdy więcej... rzekłaś na pożegnanie, wychodząc z przeczuciem śmierci w sercu...

I to już było po raz ostatni... Następny dzień przyniósł nam w darze lawinę ognia, słupy dymów, rozpacz i nędzę zniszczenia... W huraganie obstrzału armatniego gięły się drzewa w zielonych ogrodach, pękały mury, łamały żelazne sztachety...

Dowiedziałem się potem, żeś przez cały dzień nie odpoczywając prawie na chwilę, w pierwszej linii na ul. Belgijskiej, dokazywała cudów odwagi, zbierając rannych, opatrując cierpiących. Ale przyszła, przeznaczona kula i spotkała Cię w locie.

———

Jest na Mokotowie malutka uliczka, na niej tylko dwie wille, zielono wokoło, pogodnie; u skraju chodnika wzniesienie nieduże, jakgdyby ręką dziecięcą usypany pagórek; podchodzę bezszelestnie. Na jasnym krzyżu ciemne drukowane litery: „Ś. p. Janina... (ob. Hanka)... Żołnierz Armii Krajowej, spoczywa snem wiecznym". I gdy po zimowej nocy zwątpienia nastała promienna wiosna 1945 roku, poprzez nienawistny żałobny napis, (z za mgły zda się) spoglądają na mnie: czarne oczy sanitariuszki Hanki.

Jerzy Mostowski

Wśród książek i wydawnictw

Krasnolud bardzo dziki

„W dziewiczym lesie sobie żył
krasnolud bardzo dziki,
ze skórek mysich futro szył,
z hrabąszczych łusek trzewiki.
W ręku miał kostur z kości lwa,
na którym to kosturze
tkwiły brylanty lśniące dwa,
większe niż jaja kurze"...

Tak się zaczynała jedna z najpiękniejszych baśni mojego dzieciństwa.

Pamiętam dobrze z owych dawnych lat książeczkę nie grubą, ale dużego formatu, z pięknymi, kolorowymi obrazkami na całą stronę. Pamiętam, że na obrazkach był brzydki potworek i śliczna królewna i dużo, dużo zwierzaków.

W gmatwaninie zdarzeń i lat czarodziejska książeczka gdzieś się zapodziała i nigdzie u nikogo nie zdarzyło mi się takiej spotkać.

Ale w pamięci pozostały strzępki wierszy, resztki zachwytów dziecinnych, niezwiązanych z sobą wspólną treścią, która zatarła się i rozwiała.

———

Całował się niedźwiedz z Burkiem,
Burek całował się z Misiem,
Miś całował się z Kosturkiem,
ściskali się, witali się.
Patrzy na nich zwierz wszelaki,
radość im rozdziawia pyski
i sąsiada jaki taki
skacząc, bierze w swe uściski.
I wnet świerszcze taniec grają,
a na samym środku łąki,
mysz ze szczurem tak hasają,
że im splotły się ogonki.

A za tym wciskał się w pamięć inny urywek o ćmie:

Lecę cicha, bez hałasu
po kwiatach, od lasu.
Od kielicha do kielicha
lecę — lecę cicha.

W oczach miałam barwną okładkę książki z tytułem: „Bajka o Kosturku, Azie i Burku".

———

To było już bardzo dawno. Wiele lat przeszło, a pamięć o książce, w której żył „krasnolud bardzo dziki" nie wywietrzała ze wspomnień dzieciństwa.

Teraz, w okresie gwiazdkowym przeglądałam nowo wydane książki dla młodzieży. Między wieloma spostrzegłam książczynę małą, niepozorną, wydaną mizernie, na gazetowym papierze:

Karol Homolacs
Bajka o Kosturku, Azie i Burku.

W ten sposób realnie wróciło ku mnie wspomnienie pięknej baśni.

Zaczęłam przeglądać: wewnątrz kilka rysunków, które wcale nie „wyszły", chociaż autorką ich jest jedna z cenionych ilustratorek. Wina złego papieru.

Spojrzałam zazdrośnie na inne książki. Zazdrośnie, bo żadna tak biednie nie wyglądała, jak ta. Przejrzałam i te inne: wydane porządnie, z pięknymi ilustracjami, na odpowiednim papierze. Lecz wartością nie dorównywały książce Homolacsa. Chciałam sobie wytłumaczyć, że jedno wydawnictwo ma większe możliwości, drugie mniejsze. Nie przekonałam samej siebie, bo obok niepozornej „Bajki o Kosturku" leżały inne, tego samego wydawcy, wydane bardzo starannie.

Nie mogę pojąć, dlaczego tak się stało.

Kupiłam książeczkę Homolacsa. Nie tylko przez sentyment. Chciałam spojrzeć na nią dojrzałymi oczami, chciałam być krytykiem surowym — choćby dla eksperymentu, jakie będą różnice między zachwytami dziecka — a trzeźwym sądem dorosłego człowieka.

Zaczęłam czytać. Chciałam otrząsnąć się z wrażeń dawnych lat. Nie oparłam się. Ale po przeczytaniu zdałam sobie sprawę, dlaczego pamięć tej bajki „O Kosturku" była taka trwała.

Historia czarodziejska: krasnolud bardzo dziki, bardzo zły i groźny dla otoczenia. Otoczeniem jego, głuchy bór a w borze zwierzęta. Krasnolud bezkarnie szaleje, bo ma berło, w którym są zaklęte złe moce. A potem jedna mała i bezbronna dziewczynka ujarzmia potwora. Ujarzmia go dobrocią, uczuciem i uczy go kochać wszystko to, co przedtem nienawidził. Krasnolud staje się świadomym zła, które uczynił, rozumiejącym ból i cierpienie. Powraca do ludzkiej postaci — bo i on kiedyś był człowiekiem.

Bohaterowie, Kostur i Królewna Aza, żyją pomiędzy stworzeniami leśnymi, dopóki stamtąd nie wywiedzie ich miłość: Azy ku rodzicom, Kosturka ku Azie. Zwierzaki są ich najlepszymi przyjaciółmi, które nigdy nie zawodzą.

Cała baśń jest poetycką fantazją, pełną przedziwnych przygód i niebezpieczeństw.

To wszystko mogło utkwić w pamięci dziecka i trwać przez długie lata.

Czytając teraz bajkę Homolacsa spostrzegam, że ma ona dwa nurty. Jeden powierzchowny, pełen czarów i nadzwyczajnych wydarzeń — zupełnie zrozumiały dla dziecka. Drugi nurt głębszy, który na razie nie będzie przez dziecko dostrzeżony. Ale zapadnie w podświadomość, jak ewangeliczne ziarno na urodzajną glebę i kiedyś, w przyszłości, wyda owoce. Na razie tylko człowiek dorosły może ocenić wymowę symbolów i zagadnień ukrytych w baśni.

Naprzykład berło krasnoluda jest talizmanem złych mocy. Berło z kości lwa i brylantowych oczu pogańskiego boga Peruna. Symbol zwierzęcej siły, wyzutej z jakiegokolwiek ideału, która sieje zniszczenie i pozbawia człowieka cech ludzkich. Tej sile destrukcyjnej jest przeciwstawiona siła konstrukcyjna w postaci pustelnika. Posiada on moc większą w czarodziejskim krysztale, skupiającym mądrość i dobroć Bożą. Talizman taki jest do zdobycia przez łzy cierpienia i pokuty. Potwór, przez uświadomienie sobie zła, odzyskuje człowieczeństwo.

Zabawną może się wydać myśl, że w „Bajce o Kosturku" można znaleźć i aktualne zagadnienia społeczne i najnowsze osiągnięcia międzynarodowe:

———

„Podoba mi się ta zgoda!
To jest ładnie i szlachetnie.
Myślę, że byłoby świetnie,
gdyby się ta nowa moda
utrzymała już na stałe.
Zabijać? — fe, to łajdactwo!
Mam pomysły doskonałe —
— zróbmy bractwo!
Kto się wpisze, temu z gęby
wyrwiemy drapieżne zęby!
Kieł tak brzydko w pysku błyska,
to taka rzecz podła, niska".

Czy te parę zdań nie kojarzy się z „Organizacją Narodów Zjednoczonych" i z dobrowolnym rozbrojeniem?

Także imię bohaterki (Aza) możnaby uznać za symboliczne, jeżeli się sięgnie do mitologii skandynawskiej. Wiadomo, że Azowie, ród bogów, pochodzący od Odyna, zdobył władzę nad światem, pokonawszy inny ród bogów.

Poza tym baśń Homolacsa jest pozbawiona obcych pierwiastków fantastycznych. Przez to stwarza nastrój bardzo rodzimy. Jest bajką polską, podobnie jak Konopnickiej „Baśń o Krasnoludkach i o Sierotce Marysi". Chociaż Homolacs nie daje szczegółów tak wyraźnie polskich, jak Konopnicka, jednak atmosfera bajki o Kosturku jest polska. Ten bór jest nam dobrze znany, wyobrażamy sobie, że to wszystko dzieje się w naszych Karpatach, gdzie są niedźwiedzie i wilki. W tej bajce, na uczcie pije się miód, wznosi się staropolski toast „kochajmy się". Nastój baśni trafia do głębi naszych uczuć.

Wiem, że trudno stworzyć rzecz doskonałą. I w literaturze też rzadko można natrafić na arcydzieło. Jestem daleka od tego, by „Bajkę o Kosturku" oceniać jednostronnie, albo, by przez jawny sentyment dla niej — pominąć jej usterki.

Otóż mam wrażenie, że autor nie dociągnął jej artystycznie. Pisana jest naprzemian wierszem i prozą. Proza jest na niższym poziomie — wygląda szaro przy barwności wiersza. Stąd wniosek, że cała książka powinna być pisana wierszem, który wcale nie nuży. Jest żywy, wciąż inny, pełen uczucia, to znów humoru, czy akcji.

I drugą skazę widzę: jest to za drastycznie przedstawiona śmierć starca i walka z lwem (str. 106—107). Autor zapomniał na chwilę, że książka jest przeznaczona dla dzieci.

Lecz trzeba się zgodzić z tym, że i na słońcu są plamy — a jednak słońce świeci i grzeje.

Maria Kędziorzyna

Autorów i Wydawców, którym zależy na umieszczeniu recenzji w naszym piśmie, prosimy o nadsyłanie egzemplarzy recenzyjnych.

Tygodniowy przegląd kulturalno-naukowy

Został wskrzeszony kwartalnik „Zaranie Śląskie", którego tom XVI za 1945 r. w formie rocznika ukazał się niedawno nakładem „Instytutu Śląskiego" w Katowicach. Ze względu na trudności wydawnicze nie mógł on się ukazać w odstępach kwartalnych, jak to było przed wojną. Od bieżącego roku będzie wychodził jako kwartalnik. „Zaranie Śląskie" zostało założone w r. 1908 w Cieszynie jako organ tamtejszego Tow. Ludoznawczego i przetrwało do 1912 roku. Po pierwszej wojnie światowej zostało wznowione przez Tow. Ludoznawcze w Cieszynie w r. 1929 i przetrwało jako organ tego towarzystwa do 1935 roku, w którym

to roku zostało przejęte przez „Instytut Śląski“ w Katowicach. Od tego czasu „Zaranie Śląskie“ było wydawane wspólnie przez „Instytut Śląski“ w Katowicach i Tow. Ludoznawcze w Cieszynie. Redakcja została przeniesiona do Katowic, a zakres zainteresowań ograniczający się dotąd do spraw Śląska Cieszyńskiego, został rozszerzony na cały Śląsk historyczny. Ostatni przedwojenny numer „Zarania Śląskiego“, który się ukazał, lecz nie mógł już z powodu wybuchu wojny być rozpowszechniony, poświęcony był Zaolziu. Obecnie „Instytut Śląski“ podjął się wznowienia tego kwartalnika, posiadającego tak chlubną tradycję i pragnie z niego zrobić pismo, poświęcone sprawom kulturalnym nowego naszego zjednoczonego Śląska. Szumnie przeto i symbolicznie brzmią nazwy pod tytułem: „Katowice — Wrocław — Cieszyn“., jako teren działalności w znaczeniu terytorialnym i faktycznym.

Myliłby się ten, kto by sądził, że „Instytut Śląski“ rozpoczyna pracę od nowa po latach okupacji niemieckiej. W trzech ośrodkach w Warszawie, Krakowie i Lwowie, prowadzona była praca badawcza i organizacyjno-ramowa. Chodziło o to, by z chwilą, gdy okowy okupacyjne padną, zaraz ruszyć pełną parą do roboty. Że „Instytut Śląski“, spełniał należycie swą rolę, świadczy chlubna akcja wydawnicza przed wrześniem 1939 roku. Nie tu miejsce wymieniać tytuły tak poważnych i potrzebnych pozycji bibliograficznych wydanych przed wojną. Należy tylko stwierdzić, że były one niezwykle pozytywnymi osiągnięciami nie tylko w dziedzinie nauki, ale także w zakresie publicystycznym. Trzeba tu wymienić książki: St. Wasylewskiego „Na Śląsku polskim“ oraz Hulki - Laskowskiego „Śląsk za Olzą“, które namacalnie przedstawiły dzieje i zmagania ludności polskiej za kordonem granicznym. Zasługa to przede wszystkim Dyr. R. Lutmana, który znowu w lutym ub. roku zjawił się na miejscu w Katowicach i rozpoczął z energią prace od nowa. Obecne zadania „Instytutu“ są następujące: 1) stworzenie na Śląsku stałego ośrodka pracy naukowej w zakresie zagadnień, dotyczących Śląska i ziem zachodnich. 2) Pozyskanie do współpracy nad tymi zagadnieniami uczonych i wybitnych znawców z innych środowisk Polski. Ale to nie wszystko. Od końca czerwca 1945 roku urządza „Instytut Śląski“ pod nazwą „Środy w Instytucie Śląskim“ wieczory, poświęcone zagadnieniom literackim, kulturalnym i artystycznym, mające na celu wytworzenie w Katowicach ośrodka życia kulturalnego. Tyle o „Instytucie“. A samo „Zaranie“? Jest to pismo niezwykle potrzebne. Chodzi przecież o to, by było gdzie publikować prace naukowe, poświęcone życiu kulturalnemu nowego zjednoczonego Śląska. W zakresie spraw społeczno-literackich robi to z powodzeniem „Odra“. Celowość „Zarania“ jest innej kategorii. Pismo to o posmaku krajoznawczym, obejmuje swymi kręgami wszystkie przejawy życia kulturalnego Śląska. Pierwszy tom w nowej rzeczywistości jest szukaniem dróg. Zostaną one znalezione w całej rozciągłości w rocznikach następnych. Wartość „Zarania Śląskiego“, jako periodyku regionalnego dla Śląska przeznaczonego, jest nieprzemijająca. Tymi względami się też kierowano, wskrzeszając to pismo po raz drugi.

J. Ant.

Tygodniowy przegląd kulturalno - artystyczny

W ostatnim tygodniu Warszawa miała niewiele nowych imprez, bo tylko występy Polskiego Baletu M. Kopińskiego, oraz w dn. 17 b. m. Wieczór Artystyczny w Romie p. t. „Piosenką do serc“ z udziałem Lidii Wysockiej, Stanisława Gruszczyńskiego, Zbigniewa Sawana i b. Czwórki Radiowej.

„W tańcu dookoła świata“.

Balet Kopińskiego, w skład którego wchodzą następujące siły: Barbara Karczmarewicz, Irena Koszałkówna, Nina Nowakówna, Maria Palulis, Michał Kopiński i Edmund Nowak, zaprezentował nam tańce klasyczne, ludowe, współczesne, wschodnie i charakterystyczne. Technika całego zespołu jest bez zarzutu. Z kobiet na pierwsze miejsce wysuwa się Nina Nowakówna, doskonała w każdym rodzaju tańca, pełna wewnętrznego temperamentu. Patrząc na nią, nie można wątpić, że taniec jest dla niej istotną potrzebą i żywiołem. Numery Barbary Karczmarewicz wypadły blado (zwłaszcza Walc Wiedeński — muz. Straussa i Kujawiak — muz. Wieniawskiego) z powodu pewnej ociężałości i jednostajności dynamicznej. Kopiński i Nowak posiadają dużą swobodę techniczną, zwłaszcza Nowak ze swą chłopięcą, drobną figurą wykazuje w tańcu wielką lekkość i sprawność. Kompozycje taneczne są mniej lub więcej udane. Do słabszych należy zaliczyć 6-tą Rapsodię— muz. Lista, do ciekawszych zbiorowo Tańce góralskie z op. „Halka“ i Taniec Łowicki w wykonaniu Nowakówny i Kopińskiego. Występy Baletu Kopińskiego zyskałyby wiele przez zbogacenie strony muzycznej. Sam fortepian przy największych nawet staraniach prof. Stanisława Lindego nie jest w stanie dać pożądanej pełni brzmienia.

Środa literacka.

W dn. 20 lutego odbył się wieczór autorski Marty Morsztynkiewicz, która odczytała swą komedię w 4-ch odsłonach p. t. „Księżyc wysiedlony“. Komedia ta o formie dość oryginalnej i nowoczesnej, zajmuje się zagadnieniem raelizmu i złudy. Autorka wykazuje, że złuda jest niezbędna ludziom do życia.

Kamedia Maryty Morsztynkiewicz jest dość fantastyczna, lecz fantastyczność służy tylko do wypowiedzenia tezy, jest zatem wytworem mózgu. Choć pomysł obrobienia tematu w ten, a nie inny sposób jest bezsprzecznie ciekawy, lecz nieco sztuczny. Przerost nierealności może być dla ogółu publiczności nużący na scenie, zwłaszcza, że humoru w zwykłym tego słowa znaczeniu jest w tekście niewiele. Wystawienie tej sztuki dałoby w każdym razie reżyserowi pole do wykazania dużej inicjatywy twórczej i być może przedstawienie wypadłoby naprawdę bajkowo.

„Wróg ludu“ Ibsena.

Jest rzeczą znamienną dla obecnych czasów, że gros naszych recenzentów każde przedstawienie teatralne rozpatruje przede wszystkim z punktu widzenia aktualności lub zgoła li-tylko przydatności społecznej. Świadczy to o pewnym ograniczeniu, jasne jest bowiem, że dzieło sztuki posiada właściwe sobie prawa i kanony. Sztuka na prawdziwie wysokim poziomie artystycznym nie starzeje się nigdy.

„Wróg ludu“ Ibsena należy do tego rodzaju sztuk, których wartość jest nieprzemijająca. Dlatego też było rzeczą zupełnie zbyteczną tłumaczenie publiczności ze sceny Teatru Powszechnego pobudek, dla których wystawiono tę sztukę, o „błędnym stanowisku“ jej bohatera. To niesmaczne zastrzeganie się przeciwko myśli przewodniej „Wroga ludu“ i podkreślanie momentów aktualnych (walka że zgniliząą środowiska mieszczańskiego, jako przedwstęp do obecnej walki z „reakcją“), nie pasuje absolutnie do pięknego widowiska, jakie nam Teatr Powszechny zgotował. Zwycięstwo prawdy i szlachetności nad zakłamaniem kołtuństwa, choćby dokonało się ono tylko w duszy bohatera sztuki, nie można nazwać jałowym, podobnie, jak nie można z lekceważeniem odnieść się do wybujałego indywidualizmu bohatera. Czyż takiego indywidualizmu nie posiadał i sam Ibsen — wielki artysta, a także wielu, wielu innych, wybitnych ludzi? A przecież kultury i sztuki nie tworzy masa, ale tworzą ją właśnie wybitne jednostki, ludzie wytworni duchem, których Ibsen broni w swoje sztuce ustami bohatera.

„Tłum jest tylko surowym materiałem, z którego dopiero można ukształtować naród“. Końcowe zdanie sztuki: „Najsilniejszy człowiek to ten, który jest sam“, zdanie, które „dyskwalifikuje“ w obecnych czasach Ibsena do tego stopnia, że z wystawienia jego sztuki trzeba się tłumaczyć przed publicznością (dużo w gruncie rzeczy inteligentniejszą, niż to się o niej sądzi), ma głębokie podłoże psychologiczne. Ibsen — ten poeta buntu, walczył, jak wiadomo, całe życie z zacofaniem i obłudą, chcąc oczyścić „zatrute źródła życia społecznego“ swego narodu, chcąc zniszczyć „zamierające szczątki epoki“ — władze i urzędy, które „piętrzą przed człowiekiem wolnym przeszkody“. (Wspomnijmy kapitalne zdanie, wypowiedziane we „Wrogu ludu“ przez szanownego burmistrza: „Urzędnikowi nie wolno mieć osobistych przekonań). I choć znużony walką Ibsen rzuca myśl, że „wrogiem ludzkości, prawdy i wolności jest zwarta większość“, (większość oczywiście kołtuńska), a słuszność jest tylko po stronie mniejszości, (przez mniejszość Ibsen rozumie tych, którzy walczą „w obronie praw zbyt jeszcze młodych“), — jednocześnie mówi: „Nie wolno ludu wprowadzać w błąd, należy go uświadomić i oświecić“. To zdanie najlepiej dowodzi o sprzyjaniu przez pisarza masom, mimo pewnej arystokratyczności ducha. We „Wroga ludu“ Ibsen wlał całą gorycz swego życia. Oto chciał ze swoich współobywateli uczynić dumnych, wolnych, wybranych ludzi, a daremnie walczył z konserwatyzmem i obłudą, leżącą w interesie miernot ludzkich. Burza, jaka zawrzała po ogłoszeniu przez Ibsena „Upiorów“, utwierdziła go w przekonaniu o głupocie większości. Nic też dziwnego, że Ibsen czci indywidualizm. We „Wrogu ludu“ opisuje los szlachetnego lekarza zdrojowego, dra Ottona Stockmanna, który odkrywszy, że skutkiem wadliwego położenia wodociągów do miejscowości kuracyjnej dopływa woda skażona zarazkami, pragnie nakłonić Zarząd Miejski do przebudowy wodociągów. Początkowo wielu ludzi (tych zwłaszcza, którzy pragną dać szczutka w nos władzom miejskim), staje po jego stronie, gdy dowiadują się jednak, że odkrycie lekarza pociągnęłoby za sobą niepopularność zakładu zdrojowego, który stanowi główne źródło dochodu całego miasta, oraz współudział w wielkich kosztach przebudowy wodociągów, brutalnie odwracają się od niego ,a burmistrz, jego brat, wypowiada „wspaniałe“ słowa: „Doświadczony lekarz powinien dostosować się do okoliczności“. Ponieważ dr. Stockmann upiera się przy swoim, nie chcąc dopuścić do „handlu zarazą“, obwołany zostaje „wrogiem ludu“, oraz pozbawiony wraz z całą rodziną źródeł dochodu. Ale mimo moralnego pognębienia go, lekarz walczy niestrudzenie, rzucając pełne bólu i niewiary słowa: „Czyż w wolnym społeczeństwie słuszność nie jest siłą?“. A wreszcie wypowiadą swą ostateczną tezę: „Najsilniejszy człowiek to ten ,który jest sam“.

Sztuka Ibsena została wystawiona przez Teatr Powszechny z dużym pietyzmem dla pisarza, którego siła wymowy jest tak wielka. Reżyser H. Moryciński dobrze wywiązał się ze swego niełatwego zadania, dbając o prawdę psychologiczną i o styl epoki. W akcie IV-tym (scena wiecowa) zapewne ze względu na szczupłość sceny pomysłowo rozmieścił aktorów na widowni, na zmianę tylko wprowadzając ich na scenę, jako mówców, gdzie królował jako przewodniczący zebrania Thomsen. Gra aktorów wypadła bardzo dobrze. Juliusz Łuszczewski wspaniale oddał typ pompatycznego, a równocześnie suchego i zawistnego burmistrza i dyrektora zakładu kąpielowego, Jana Stockmanna. Stefan Wroncki, jako Otton Stockmann, potrafił doskonale wczuć się w rolę szlachetnego, miłującego ponad wszystko prawdę, lekarza-buntownika. Ustrzegł się on fałszywego patosu ,którego dość trudno uniknąć w tej roli. Józef Zejdowski w roli garbarza Worsa, szczwanego lisa, oraz Aleksander Michałowski w roli „umiarkowanego“ Thomsena, stworzyli kreacje po prostu świetne. Janina Polakówna (Petra) wykazała dużo szczerości i wdzięku. Pozostali aktorzy odegrali swoje role prawie bez zarzutu.

Dekoracje Jana Golusa bardzo staranne i stylowe (wyjątek stanowi, niestety, dekoracja do aktu III-go, przedstawiająca redakcję — utrzymana w duchu zbyt nowoczesnym. Kostiumy stylowe, ładne i efektowne.

„SKIZ“ W SALI ROMA

Wędrujący po Polsce od wielu miesięcy „Skiz“ z Mieczysławą Ćwiklińską przybył nareszcie i do Warszawy. Przedstawienia odbywają się zasadniczo w sali Wedla na Pradze, dla udostępnienia jednak widowiska całej ludności Warszawy, dano szereg przedstawień w sali Roma. Brak kurtyny i prowizoryczność dekoracyj ujęła nieco splendoru sztuce, ale mimo to wypadła ona ciekawie i zgromadziła tłumy publiczności. „Skiz“ zawsze cieszy się powodzeniem dzięki swej niegasnącej aktualności, pikanterii i dowcipowi. Ta jedna z najlepszych sztuk Zapolskiej trafia w sedno przedstawiających odwieczne sprawy miłości, to też stale jednakowo „chwyta“, bawiąc przy tym ludzi pewną dozą naturalistycznej niemoralności. Kobieta, która, wygrywa swą kartę w ten sposób, że pobłażając mężowi i rzucając go nieraz w ramiona innych kobiet, zdobywa go ostatecznie dla siebie („Z flirtów mego męża odnoszę korzyść ja“) nie może nie zaciekawiać i nie bawić setek zdradzonych i zdradzających. Lekkość i sceniczność sztuki, zahamowana jedynie na krótką chwilę w akcie pierwszym (scena nastrojowo - sentymentalna w staroświeckich strojach), za każdym razem porywa widza podziwiającego niezmiennie talent obserwacyjny i instynkt psychologiczny Zapolskiej. Mimo woli nasuwa się myśl, jaką to burzę musiał wywołać „Skiz“ w czasach swego powstania (r. 1909), kiedy to z powodu pruderii nie mówiono o poruszanych przez Zapolską z taką swobodą, a nawet cynizmem sprawach. Ujawnienie tak charakterystycznego dla świata mieszczańskiego braku etyki obyczajowej nie małą jest też jej zasługą, mimo, że „Skiz“ pełen jest pobłażania ze strony autorki, pobłażania, dzięki któremu sztuka żyje i pełna jest humoru. Wprowadzenie przez reżysera E. Chaberskiego elementów farsy do aktu trzeciego — przypuszczam świadome — łagodzi „niemoralność“ komedii. Z czwórki wykonawców najlepiej odegrali swoje role M. Ćwiklińska i Tadeusz Wesołowski. Ćwiklińska wiecznie młoda i pełna życia doskonale wżyła się w postać bogatej doświadczeniem, przekwitającej kobiety, która pragnie się jeszcze podobać, kobiety, która pewna jest swego, a przeliczyła się w swojej grze. Ćwiklińska drwiąca i dowcipna, Ćwiklińska urażona w swojej dumie i płacząca, wreszcie Ćwiklińska liryczna i sentymentalna była doskonała. Tadeusz Wesołowski z prawdziwą werwą i temperamentem oddał typ sympatycznego prostaka wiejskiego, nieznającego się na „wyrafinowanych“ subtelnościach życia, lecz znający się za to na swoim gospodarstwie. Wiktor Biegański był trochę za mało wyrazisty, t. zn. za mało przekonywujący w swoim uwodzicielstwie w akcie I-szym, doskonały natomiast w akcie II i III-cim. Jadwiga Baronówna odegrała bez zarzutu swą trudną rolę obudzonej kobiety. Szkoda, że dekoracje nie stworzyły nastroju wiejskiego domu, w którym akcja się rozgrywa. Trudności związane z wystawieniem sztuki w Romie usprawiedliwiają to oczywiście.

Wanda Bacewiczówna.

List do redakcji

Panie Redaktorze!

Otrzymałem za pośrednictwem Pana szereg listów od czytelników „Dziś i Jutra“, zawierających zestawienie co do pewnych, zbyt jakoby drastycznych wyrażeń, które się znalazły w ustach bohaterów fragmentu mojej powieści „W rozwalonym domu“, zamieszczonego w „Dziś i Jutro“.

Cóż mam na ten zarzut odpowiedzieć? Chyba to, że żołnierze powstania tak właśnie mówili. Nie inaczej, ale właśnie tak. Płynęło to z trzech powodów: po pierwsze ci chłopcy, na których padł całym brzemieniem ciężar odpowiedzialności żołnierzy i ludzi dorosłych, musieli do swej roli bardzo szybko dorosnąć. Naśladowali starszych — w sposób trochę zewnętrzny — ich surowość, bezwzględność, ostrość, a naśladując starszych, musieli przemagać — właśnie tą szorstkością — swoją młodzieńczą delikatność. Zwykle tak bywa, że najbardziej szorstki jest ten, kto sobie szorstkość narzuca, po wtóre — powstanie było epopeą ogólnospołeczną — brali w nim udział wszyscy. I to było takie charakterystyczne, że powstał między żołnierzami od razu wspólny język. Chodziło o to, aby się od siebie niczym nie różnić, aby nie było nie tylko różnicy między oficerem — którym każdy mógł zostać — a żołnierzem, ale też między przedstawicielem inteligencji a chłopcem z fabryki. To też szorstki, brutalny język ulicy stał się językiem wszystkich. Wreszcie — rzecz wygląda na żart — ale tak jest. Tam, gdzie brak jest języka techniczno - fachowego, powstają soczyste określenia „zastępcze“. Znane historie w fabryce, czy na wojnie.

Tak zresztą było i na to nie ma rady. Można by najwyżej rezygnować z chęci odtworzenia prawdziwej atmosfery powstania, nie pisać tego wszystkiego. Autor katolicki stoi zawsze między młotem a kowadłem. Z jednej strony czyha nań zarzut gorszyciela — jakim obdarzano i Bloya i Mauriaca (po ukazaniu się „Genitrix“) i Kossak-Szczuckiej (po „Krzyżowcach“) — z drugiej — równie ciężki — „stylizatora prawdy“. Droga więc pisarza nie jest taka prosta, musi iść za gwiazdą swej intuicji.

Powiada św. Augustyn: „Kochaj — i czyń co chcesz!“. Tak, ale trzeba mieć pewność, że się kocha i że się dobrze kocha. Dlatego też recepta nie jest dostatecznie jasna. Trzeba dla siebie wypisać mniej szeroką.

Otóż wydaje mi się, że pisarz katolicki powinien unikać zbytecznego opisu. Opis gorszący może być zawsze usunięty z treści, bez szkody dla sztuki. Także pisarz powinien, o ile potrafi, unikać brutalności...

Ale: o ile potrafi. Bo brutalność czasami jest czymś nieodłącznym od obrazu prawdy. Zwłaszcza, gdy brutalne słowo stanowi tylko symbol rzeczy. Jeden z moich Przyjaciół zarzucił mi, że słowo użyte przez moich bohaterów, jest nie tylko brutalne, ale wyraża grzech przeciwko 6-mu przykazaniu. Tymczasem rzecz wygląda zgoła inaczej: moi młodociani bohaterowie używają drastycznych wyrażeń w całkiem innym sensie — i to w bardzo niewinnym.

Więc tylko atmosfera i ton, a wcale nie treść. Chyba mnie to rozgrzeszy. Bo jeśli dojdziemy do podkładania pod słowo domyślnej treści, gdy zaczniemy myśleć, co autor chciał pomyśleć, to — biada słowom! Inny z moich Przyjaciół przypominał mi niedawno, jak to powstała burza na tle czasownika „wyłaniać“ — którego treść chciał pewien mówca czytelnikom „wytłumaczyć“. Nie tłumaczmy! słowo rzadko nabiera treści na podstawie etymologicznej; częściej wyraża to, co chcemy wyrazić.

Jan Dobraczyński

Życie gospodarcze

Międzynar. kronika gospodarcza

Grecja. „The Economist“ z dnia 2.II.46 ujawnia bliższe szczegóły pomocy finansowej, jaką Anglia zgodziła się udzielić Grecji przy odbudowie jej życia gospodarczego. Grecja otrzymuje bezprocentowy kredyt w wysokości 10.000.000 funtów szterlingów, który będzie spłacać przez dziesięć lat, poczynając od 1951 roku. Ponadto Anglia skreśla długi, zaciągnięte u niej przez Grecję w ciągu ostatniej wojny w łącznej kwocie 46.000.000 funtów. Z uzyskanej pożyczki Grecja nabędzie od Anglii artykuły konsumpcyjne oraz część urządzeń transportowych z demobilu ogólnej wartości pół miliona funtów na odbudowę komunikacji. Układ zawiera szereg szczegółowych klauzul, przewidujących daleko sięgające ograniczenia swobody dyspozycji rządu greckiego w wewnętrznych sprawach gospodarczych.

Polityka walutowa będzie podlegać nadzorowi Komisji Walutowej, do której W. Brytania i Stany Zjednoczone wydelegują po jednym przedstawicielu. Każda nowa emisja banknotów może nastąpić tylko w drodze jednomyślnej uchwały komisji. Rząd grecki zobowiązuje się opracować plan stopniowej redukcji deficytu budżetowego przy pomocy zwiększonego opodatkowania i ograniczania wydatków na cele nieproduktywne, dopóki nie zostanie osiągnięta całkowita równowaga budżetowa, przy czym co miesiąc będzie ogłaszać sprawozdania z osiągniętych w tej dziedzinie rezultatów. Płace

mają być ustabilizowane, ceny poddane kontroli. Przydziały UNRRA będą wydawane tylko na podstawie wykonanej pracy. W celu pomagania w opracowaniu i wykonaniu tego programu zorganizowana została brytyjska misja ekspertów, a na zaproszenie rządu greckiego przy niektórych ministerstwach będą działać doradcy angielscy.

Pierwszym krokiem na drodze do realizacji tego programu uzdrowienia gospodarczego była dewaluacja drachmy greckiej, już trzecia z rzędu w ciągu ostatnich 14 miesięcy. Zasadniczy kurs został określony na 20.000 drachm za funta szterlinga, jednakowoż codziennie rząd ustala odchylenia od tego kursu, uważając, że dopiero dłuższa praktyka umożliwi ostateczną stabilizację waluty. Nie bez znaczenia jest przy tym okoliczność, że do ostatniej dewaluacji kurs drachmy spadł dziesięciokrotnie, podczas gdy ceny wzrosły przeciętnie dwunastokrotnie.

Do obrony kursu służy bezpośrednio wspomniany kredyt dziesięciu milionów funtów oraz niezużyta reszta kredytów wojennych w kwocie 15 milionów funtów. Fundusze te są złożone na specjalnym rachunku w Banku Angielskim i dysponowanie nimi jest uzależnione od aprobaty Banku.

Jeśli chodzi o program odbudowy na długą metę, to bada się możliwości uzyskania kredytów w Banku Odbudowy, przewidzianym układami w Bretton Woods.

„The Economist" ocenia powyższy program uzdrowienia gospodarki greckiej, jako realny i dobrze się zapowiadający, stwierdza jednak, że obrana droga jest wprawdzie zbawienna, ale niepopularna, a o osiągnięciu zakreślonego celu zadecyduje w pierwszym rzędzie odwaga i determinacja rządu greckiego.

Wydobycie węgla na zachodzie kontynentu europejskiego. Europejska Organizacja Węglowa, obejmująca kraje zachodniej Europy kontynentalnej, ogłosiła pierwsze z zapowiedzianych sprawozdań miesięcznych, ilustrujące wzrost wydobycia węgla i stanu zatrudnienia między lipcem a grudniem 1945 r. przy pomocy poniższej tabeli:

	Produkcja w tys.			Zatrudn. w tys.		
	Lipiec 1945	Grudz. 1945	Stosunek proc. do przec. mies. w lat. 1935-1938	Lipiec 1945	Grudz. 1945	Stosunek proc. do przec. mies. w lat. 1935-1938
Niemcy Zachodnie	2.052	4.637	41%	157	245	77%
Francja	2.704	3.523	91%	252	299	133%
Belgia	1.140	1.729	73%	114	157	114%
Holandia	390	503	46%	30	31	110%

Jak z niej wynika, zarówno pod względem wysokości produkcji, jak i stanu zatrudnienia Francja zajmuje pierwsze miejsce, Niemcy Zachodnie ostatnie. Z drugiej strony stosunek wydobycia do ilości górników wykazuje uderzający spadek wydajności.

W zagłębiu Ruhry wydobycie, które w 1933 r. wynosiło 1.970 ton na głowę, w ostatnim tygodniu grudnia 1945 r. wynosiło 2.133; we Francji odnośne cyfry wynoszą 1.229 ton i 0.896 ton; w Belgii 1.035 ton i 0.800 ton; w Holandii 2.371 ton i 1.598 ton. Oczywiście, produkcja nie wystarcza na pokrycie zapotrzebowania tych krajów (z wyjątkiem Niemiec Zachodnich), wobec czego niedobór musi być pokrywany importem, który z kolei przedstawia się następująco (w tysiącach ton):

	Lipiec 1945	Grudzień 1945	Stosunek proc. do przec. mies. w latach 1935-1938
Francja	348	723	36%
Belgia	86	351	93%
Holandia	101	229	33%
Luksemburg	69	120	47%
Norwegia	166	193	78%
Dania	77	204	62%

Głównymi dostawcami węgla dla krajów deficytowych były w grudniu 1945 Niemcy Zachodnie (972.000 ton), Stany Zjednoczone (657.000 ton), W. Brytania (211.000 ton) i Południowa Afryka (63.000 ton). Dane te wykazują dobitnie obecny niedobór węglowy Europy Zachodniej, a zarazem wyjaśniają powolne tempo jej odbudowy, w pierwszym rzędzie uzależnionej od wzrostu wydobycia i dowozu węgla.

Odbudowa przemysłu włókienniczego w Japonii i w Niemczech. Brytyjskie Ministerstwo Handlu zakomunikowało, że międzynarodowa grupa ekspertów włókienniczych udała się do Japonii, w celu zbadania sytuacji tamtejszego przemysłu tekstylnego. W skład misji wchodzą trzej eksperci amerykańscy, wyznaczeni przez Ministerstwa Wojny i Spraw Zagranicznych oraz obserwatorowie, wydelegowani na zaproszenie rządu Stanów Zjednoczonych przez W. Brytanię, Indie i Chiny. Przyszłość niemieckiego przemysłu również stanowi przedmiot badań amerykańskich, w szczególności ustalenie dopuszczalnej górnej granicy jego produkcji. Zarówno w stosunku do Japonii, jak i do Rzeszy decydujące będą oczywiście względy polityczne.

Oświadczenie amerykańskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych z 21 stycznia 1946 r. podaje szczegóły planu dostarczenia Niemcom i Japonii bawełny i innych surowców, w celu odbudowania ich przemysłu włókienniczego. Brak materiałów napędowych i środków transportowych zakreśla ścisłe granice temu planowi, zwłaszcza, że w pierwszym rzędzie muszą być uwzględnione potrzeby krajów oswobodzonych i mocarstw okupacyjnych. Deklaracja stwierdza jednak, że światowy niedobór wyrobów włókienniczych zmusza do wykorzystania wszystkich wrzecion, gdziekolwiekby nie były, z drugiej strony wobec nadmiaru bawełny krótkowłóknistej dostarczanie jej Niemcom i Japonii nie będzie połączone z uszczerbkiem dla krajów wyzwolonych. Niemcom i Japonii pozostawi się jedynie minimum wyrobów włókienniczych na zaspokojenie najniezbędniejszych potrzeb ludności, cała zaś nadwyżka zostanie zużyta na opłacenie dostarczonego surowca oraz innych rodzajów importu, na razie opłacanego ze środków mocarstw okupujących.

Stany Zjednoczone zmierzają do uzgodnienia wspomnianego planu z innymi sojusznikami. Nie pójdzie to łatwo, zważywszy, że rozmiary przewidywanej produkcji przemysłu włókienniczego w Japonii i Rzeszy zadecydują zarazem o tym, ile oba te kraje będą mogły dostarczyć maszyn włókienniczych Rosji i Chinom tytułem reparacyj. Jeśli chodzi o Japonię, to przeważna część jej maszyn została w czasie wojny przetopiona na cele przemysłu wojennego.

P.

SZEROKI HORYZONT

Z tych ciemnych dni

Historia pisana jest zawsze w dwóch wydaniach: jedno dla ogółu — drugie dla wybranych. Wiemy, że w tych ciemnych dniach, które mamy za sobą, cała nasza sprawa nieraz wyglądała bardzo niedobrze. Były przecież okresy, kiedy w słabych sercach mogło zbudzić się zwątpienie: czy wygramy, czy jednak hitleryzm nie pokona naszych walczących sprzymierzeńców, czy nad światem nie zalegnie mrok na lata?

Szerokie masy naszego społeczeństwa były szybko i dokładnie informowane przez podziemną prasę o wypadkach na frontach wojennych. Ale nie wiedzieliśmy — i ostatecznie niema w tym nic dziwnego, żyjący w wolnym świecie obywatel kraju neutralnego wiedział od nas niewiele więcej — jak wyglądają kulisy rozmaitych wydarzeń.

Było to blisko cztery lata temu. Na wschodzie pancerne dywizje niemieckie szły od zwycięstwa do zwycięstwa i nie widać było jeszcze kresu ich podbojów. W Afryce, na Dalekim Wschodzie, na morzach świata wojna dochodziła do kulminacyjnego punktu. Jak naprawdę wyglądała sytuacja na wszystkich frontach? Dobiegła nas wtedy wiadomość — było to 23 kwietnia 1942 roku — że brytyjska Izba Gmin zebrała się na tajne posiedzenie. Co kryło się za tym faktem? Dopiero dziś podano do wiadomości publicznej mowę, jaką Churchill wygłosił wtedy. Posłuchajmy...

Premier zaczął od stwierdzenia, że siła Japonii była niedoceniana i ostrzegł, że siły alianckie są na wszystkich frontach znacznie słabsze od wojsk Osi. Churchill omówił szczegółowo klęski, ponoszone na Dalekim Wschodzie i dodał, że kazał przerzucić tam z Afryki i Syrii wojska australijskie. Stwierdził przy tym, że ten niesłychanie ryzykowny manewr został umożliwiony jedynie przez dzielny i udany opór Rosji. Wyliczył dokładnie straty w okrętach wojennych, jakie w tym czasie zostały zadane flocie brytyjskiej zarówno przez Japończyków, jak i przez Niemców i musimy od siebie dodać, że, niestety, widać jasno z przytoczonych danych, że w tym okresie Goebbels nie przetrzebował klamać... Churchill oświadczył następnie, że naskutek tych strat, obrona morska Egiptu została ogołocona z ciężkich jednostek floty i trzeba przerzucić na morze Śródziemne kilka flotylli z morza Północnego. Stwierdziwszy miażdżącą przewagę włoskiej floty, Churchill powiedział, że według wszelkich przewidywań, nic teoretycznie nie stoi na przeszkodzie temu, by siły lądowe niemiecko-włoskie zalały nie tylko Libię i Egipt, ale także Syrię i Palestynę. Dłużej zajmował się następnie sprawą przepłynięcia ciężkich pancerników niemieckich przez Kanał La Manche, które wtedy wstrząsnęło opinię publiczną w Wielkiej Brytanii i przyznał, że w ciągu ostatnich kilku tygodni, królewska marynarka straciła siedem wielkich jednostek i ponad jedną trzecią krążowników. Następnie ostrzegł Izbę przed optymizmem na przyszłość, ponieważ — zwłaszcza z Birmy — można oczekiwać tylko złych wiadomości. Podał posłom następujące rozlokowanie 72-ch dywizji, które stanowiły główną siłę uderzeniową Japonii: 27 — rejon Birmy, Indii Holenderskich i Nowej Gwinei, 15 — w Chinach, 10 — w samej Japonii, a 20 stoi na granicy Związku Radzieckiego. Jak do chwili wygłaszania tej mowy, Japończykom udało się zniszczyć 6 dywizji brytyjskich względnie indyjskich, 3 holenderskie, oraz 5 do 6 amerykańsko-filipińskich. Straty alianckie w rannych i zabitych wyniosły wtedy około 100.000 ludzi. Rozważając kierunki, w których pójdzie następne uderzenie, Churchill rozważał możliwości ofensywy przeciw Indiom albo Australii, ale wyraził przypuszczenie, że głównym celem ataku będą Chiny.

Skolei przeszedł do omawiania pierwszoplanowych zagadnień wojny — przeciw Niemcom i Włochom. Powiedział dosłownie: „Zacznę od najprzykrzejszej sprawy, a mianowicie olbrzymich strat i zniszczeń, dokonanych w naszych okrętach u wybrzeża wschodniego Stanów Zjednoczonych. W okresie niespełna 60 dni zostało w tej strefie zatopionych więcej statków, niż straciliśmy na wodach całego świata w czasie ostatnich 5 miesięcy, które poprzedzały przystąpienie Ameryki do wojny. Dane z ubiegłych dwu miesięcy z wybrzeża amerykańskiego plus straty poniesione od japońskich ataków na oceanie Indyjskim i Spokojnym, składają się na całość miesięcznych naszych strat i dają się porównać do najgorszego, czego tylko zaznałem w tej lub ostatniej wojnie. Moją najpoważniejszą troską jest ubytek tonażu i pojawienie się większej ilości łodzi podwodnych".

Ogólną sytuację Churchill nazwał „ciemnym obrazem ruiny". Niemniej jednak zapewnił swych słuchaczy o swym niezbitym przekonaniu o zwycięstwie i przedstawił drogę, która ku temu celowi prowadzi.

Tak to kiedyś było... Kiedy się nad tym wszystkim zastanowić, to trzeba stwierdzić, że mimo radia i wszelkich kontaktów ze światem, nasze pojęcia odnośnie sytuacji ogólnej były podczas wojny niesłychanie mgliste. **Czasem wkładaliśmy** różowe okulary, czasami wpadaliśmy w przygnębienie.

Mimo wszystko, trudno jest dojść do istoty rzeczy, trafnie ocenić sytuację, doszukać się prawdy. Ale prawda zawsze zwycięża.

Jeden człowiek przestaje być Bogiem

Właściwie nie mówiło się o tym tyle, ile należało. A przecież ta wiadomość, której tak niewiele uwagi się poświęciło, zawiera w sobie zakończenie jednej epoki w życiu jednego narodu.

Mamy tu na myśli proklamację cesarza Japonii Hirohito, który sam obalił mit o swej boskości. Oto co powiedział swemu ludowi Syn Niebios: „Musimy dążyć do zerwania z dawnymi praktykami — stosunki między nami a naszym ludem nie mogą więcej opierać się na legendach i mitach. Wychodzą one z fałszywego założenia, że cesarz jest pochodzenia boskiego, a Japończycy górują nad innymi narodami i powołani są do rządzenia światem. Cesarz nie jest żyjącym bogiem".

Tak to, w osiemnastym roku Epoki Usłonecznionego Pokoju, szyntoizm popełnił ideologiczne harakiri. Trudno wprost przewidzieć doniosłość i znaczenie tej proklamacji cesarskiej dla Japonii i całego Dalekiego Wschodu.

Rozkazem generała Mac Arthura, szyntoizm przestał być religią państwową. Trzeba przyznać, że Hirohito zdobył się na wielki krok naprzód, odrzucając publicznie cały balast swej boskości i potępiając wiarę w światowe posłannictwo Japonii. Obalając ten anachronizm, Japończycy wyciągną z niego zapewne i dalsze konsekwencje i zrewidują tekst swej konstytucji, której artykuł trzeci mówi wyraźnie, że „cesarz jest święty i nietykalny".

Nawiązując do dążeń, przejawianych przed 78 laty przez swego dziadka Medżi, Hirohito wyraził swe poważanie dla „życzeń ludu", jak też przejawił chęć „dzielenia z nim jego radości i smutków". By te swe chęci bardziej zadokumentować, cesarz stara się zawsze ukazywać swemu ludowi — jak dotąd wyłącznie na fotografiach — w stroju cywilnym, a nie w ceremonialnych szatach, jakie nosił dotąd.

Trzeba tu dodać, że — według nadchodzących sprawozdań — ta zasadnicza zmiana nie wywarła na Japończykach głębszego wrażenia. Trudno jest, coprawda ocenić, ile jest prawdziwej szczerości, a ile japońskiej chytrości w oświadczeniach rozmaitych Japończyków, którzy twierdzą, że w boskość cesarza swego nigdy nie wierzyli. Również i prasa japońska nie jest zachwycona. „Nippon Times" pisząc: „Nie jest to inowacją, jak to przypuszcza wielu cudzoziemców, ale poprostu nawrotem do prawdziwych tradycji japońskich po okresie przejściowego spaczenia". A inna, komunistyczna, wypowiedź stwierdza, że „...proklamacja cesarza jest spowodowana zewnętrznym naciskiem i postawą ludu. Nasuwa się podobieństwo do ośmiornicy, która w przystępie głodu pożera swe własne macki".

Naszym zdaniem, już choćby takie zdania w gazetach na temat cesarza są dla Japonii rewelacją i rewolucją. Szkoda tylko, że tylu ludzi musiało zginąć, dla wyperswadowania narodom połamanej Osi niedorzeczności ich rozmaitych prawd oczywistych.

I pomyśleć, że to tylko o nas się mówiło, że jesteśmy mądrzy po szkodzie.

Wilk.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

P. C. W., Częstochowa. W związku z listem pana z dn. 5 lutego uprzejmie prosimy o osobiste skomunikowanie się z nami.

P. Wł. P., Bytom. Bardzo dziękujemy za list. Prosimy o osobiste skontaktowanie się z red. Bieńkowskim przy pierwszej bytności w Warszawie.

„Kościesza", Warszawa. Nie posiadając adresu Pana, tą drogą zawiadamiamy, że notatki „Złoty środek", jako zdeaktualizowanej, nie zamieścimy. Prosimy natomiast o dalszą współpracę. Chcielibyśmy poznać Pana osobiście.

P. Jan Fr., Wrocław. Dziękujemy za list. Prosimy przy okazji odwiedzić nas w redakcji. Zastrzeżenia Pana słuszne, mamy nadzieję, że już w niedługim czasie będziemy mogli zaspokoić Pańskie życzenia.

P. M. Str., Toruń Mokre. Wiersze zamieścimy. Szczerze życzymy powrotu do zdrowia. Pismo wysyłamy.

Redaguje: Kolegium redakcyjne. Redaktor naczelny: Witold Bieńkowski. Kierownik Oddziału Krakowskiego: Wojciech Kętrzyński. Wydawca: Kolegium redakcyjne.
Adres redakcji i administracji: Marszałkowska 81, m. 17. Konto P. K. O. — Nr I—727. Redaktor przyjmuje codziennie od godziny 11 do 12.
Adres Oddziału Krakowskiego: Kurkowa 5 m. 4. Redaktor przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godziny 13 do 14.
Prenumerata miesięczna 30 złotych. Kwartalna 85 złotych.
Złożono w Zakł. Graf. „Dźwignia" Widok 24. B 049.8 Odbito w Drukarni „Czytelnik" Nr. 2, Marszałkowska 3-5.